

Cena 20 zł.

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 1 grudnia 1947 r.

Nr 48 (117)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

EUGENIUSZ DELACROIX

PAMIĘTNIK^{*)}

(FRAGMENTY)

1. MŁODY ROMANTYK ALBO MELANŻ W DUCHU EPOKI

Louroux, wtorek, 3 września 1822. — „Jestem u mego brata¹⁾”. Zegar w Louroux wydzwonił dziewiątą czy dziesiątą. Usiadłem na pięć minut w świetle księżyca, na małej ławeczce znajdującej się przed moimi drzwiami, starając się zebrać myśli. Lecz choć jestem szczęśliwy dzisiaj, nie odnajduję wzruszeń wczorajszego wieczora. Była księżycowa pełnia. Siedząc na ławce na przeciw domu mojego brata zaznawałem słodkich chwil. Odprowadziwszy sąsiadów, którzy byli u nas na obiedzie, wróciliśmy okrążając staw do domu. Brat czytał gazety, ja kopiowałem Michała Anioła, którego wziąłem ze sobą. Ten wspaniały rysunek wzruszył mnie głęboko i usposobił do miłych sercu wzruszeń. Na czystym niebie ukazał się wielki i czerwony księżyc i powoli wznosił się między drzewami. Pograżony w marzeniach, wśród opowiadań mego brata o miłości, usłyszałem z daleka głos Lizetty. Jego dźwięk przyprawił mnie o bicie serca; działała na mnie bardziej, niż inne uroki jej osoby. Lizetta bowiem nie jest prawdziwie ładna; lecz jest w niej okrucieństwo tego, co Rafael czuł tak dobrze. Jej ramiona czyste jak z brązu, delikatne i silne zarazem...

Paryż, 12 października 1822. — Wróciłem z „Wesela²⁾” pełen boskich wrażeń. Ciągłe jestem niepewny, jak słabe dziecko. Ta zmienność mego usposobienia! W jednej chwili jakaś myśl burzy wszystko, miesza i odwraca decyzje najdalej idące. W imię szczerości ze samym sobą nie chciałbym wydawać się lepszym, niż jestem, ale po co? Każdy człowiek niepokoi się znacznie bardziej najmniejszym z własnych nie-szczęść, niż największymi klęskami całego narodu.

— Czyń tylko to, co należy. — Oszukiwałem się. — Zmyliła cię twoja wyobraźnia.

— Ta muzyka często budzi we mnie wielkie myśli. Czuję ogromne pragnienie tworzenia, kiedy ją słyszę. Obawiam się, że brak mi cierpliwości. Byłbym zupełnie innym człowiekiem, gdybym w pracy zachowywał postawę pewnych znanych mi ludzi. Zbyt się śpieszę, żeby osiągnąć rezultat.

— Jedliśmy obiad razem, Karol³⁾, Piron⁴⁾ i ja. Potem aux Italiens. Jakiż rozkoszny niepokój budzą we mnie te wszystkie kobiety! Ich wdzięki, turniury, wszystkie te boskie rzeczy, które widzę i których nigdy nie będę posiadać, napieniają mnie smutkiem i radością zarazem.

Paryż, wtorek 15 kwietnia 1823. — „Nie powinienem być pani⁵⁾” widzieć — wszystko na nowo obudziło się we mnie! Przez dobroć przyjął mnie pani bez chłodu. Cóż może mi się zdarzyć: nieskończone udręki, które już się dla mnie zaczęły! Jakieby były pani uczucia dla innego, jest on przyjacielem twoim i twojej rodziny; ja zaś mam przechadzać się pod twoimi oknami, kiedy on będzie przy Tobie? Licyłem na mój spokój, lecz pani wszystko zburzyła. Wszystko jedno! Nie mogąc pani widywać, zachowam drogie wspomnienie ostatniego pożegnania. I ty pamiętaj o tklivym przyjacielu⁶⁾.”

Piątek, 27 lutego 1824. — „Najbardziej realne są złudzenia, które tworzą malując. Reszta to lotny piasek.

Sroda, 3 marca 1824. — „Na nowo weź się żywo do Twego obrazu. Myśl o Dan-

^{*)} Journal de Delacroix 1822—1863. La Palatine — Genève.

¹⁾ Karol Delacroix, generał, prawdopodobnie prototyp balzakowskiego Filipa Brideau. ²⁾ „Wesele Figara” Mozarta. ³⁾ Karol Verminac, siostrzeniec Delacroix. ⁴⁾ Przyjaciel Delacroix, jeden z najbliższych. ⁵⁾ Brulion listu do pani J. (nazwisko nieznane).



Delacroix

Masseres de Scio (fragment)

olej

tem. Przeczytajmy go raz jeszcze. — Ciągłe działaj, aby wrócić do wielkich idei.

Wtorek, 18 maja 1824. — Czy sądzisz, że Byron tworzył swoje potężne poematy wśród ciągłego niepokoju; że Dante był otoczony rozrywkami, gdy dusza jego podążowała wśród cieni?

Sobota, 19 maja 1824. — „Czy mogę mieć nadzieję, piękna pani,¹⁾ że ujrzę cię w piątek i że mi przebacysz moją nieobecność u Ciebie? Ośmielam się pochwlebiać sobie, że nie będziesz tak surowa, jak to mówisz, ani tak okrutna, aby ominąć żółte drzwi. Wyobrażam sobie, że będzie to po południu, jak ostatnim razem. Jeśli nie jest to zbyt wiele, pozwól sobie poprosić pania o trochę więcej czasu.”

2. SALONY, SPOTKANIA, LUDZIE ALBO PARYŻ NA PRZEŁOMIE STULECIA

Paryż, 12 marca 1847²⁾. — „Po obiedzie u pani Sand. Padła okropny śnieg i brnąc w błocie dotarłem do ulicy Saint-Lazare. Dobry, kochany Chopin dał nam trochę muzyki. Co za czarujący geniusz! Był pan Clesinger, rzeźbiarz. Wywarł na mnie miłe wrażenie.

¹⁾ Projekt listu do pani de Corylans. ²⁾ Pierwsza część pamiętnika urywa się na roku 1824; dopiero w r. 1847, po przeszło 20-letniej przerwie, Delacroix na nowo zabiera się do pisania.

3 kwietnia 1847 roku. — Wyszedłem wcześniej, aby zobaczyć się z Gautierem. Dziękowałem mu bardzo za jego świetny artykuł³⁾, napisany przedwczoraj, który sprawił mi wielką przyjemność. Podał mi myśl (Gautier) abym urządził wystawę tych wszystkich moich obrazów, które zdołałem zgromadzić...

Poniedziałek, 26 lutego. — Pracowałem niewiele... Jadłem obiad u Bixio z Lamartine'm, Merimée'm, Malleville'm, Scribe'm, Meyerbeerem i dwoma Włochami. Bawiłem się świetnie. Nigdy nie byłem tak długo z Lamartine'm. Merimée zagadnął go w czasie obiadu o poezję Puszkina, o których Lamartine mówi, że je czytał, chociaż nigdy i przez nikogo nie były tłumaczone. Politowania godne widowisko daje ten człowiek wiecznie wyprowadzany w pole! Próżność, dzięki której nie zajmuje się niczym innym jak upajaniem się własną osobą i przypominaniem innym tego, co może jej tylko dotyczyć, pozwala mu na zachowanie doskonałego spokoju wśród milczącej zgody pozostałych, aby traktować go jako swego rodzaju wariata. Jego gruby głos ma w sobie coś niemiłego.

Piątek, 30 marca 1849. — „Wieczorem u Chopina spotkałem czarodziejkę, panią Potocką⁴⁾. Słyszałem ją dwa razy; rzadko zdarzało mi się zetknąć z czymś bar-

³⁾ Artykuł Teofila Gautier o Delacroix (La Presse, 1.3.1897). ⁴⁾ Delfine.

NIE MOŻNA ŻYĆ W SPOŁECZEŃSTWIE I BYĆ WOLNYM OD SPOŁECZEŃSTWA

Lenin

TREŚĆ NUMERU:

EUGENIUSZ DELACROIX —
PAMIĘTNIK

ZBIGNIEW BIENKOWSKI —
ANTYAMERYKANIZM WSPÓŁ-
CZESNEJ POWIEŚCI AMERY-
KANSKIEJ

BOLESŁAW LEŚMIAN —
WIERSZE

PAWEŁ HERTZ —
LINIA NAJMNIEJSZEGO OPORU

RYSZARD MATUSZEWSKI —
W POSZUKIWANIU RZECZYWI-
STYCH BYGORÓW POETYCKICH

MIECZYSLAW WIONCZEK —
OBROŃCA CYWILIZACJI
ZACHODNIEJ

ALEKSANDER LITWIN —
O T. ZW. ANGIELSKIEJ DRODZE
DO SOCJALIZMU

LEON GOMOLICKI —
DROGA DO ROSJI (II)

EWA KORZENIEWSKA
TEORIA LITERATURY

KORESPONDENCJA

dziej doskonałym. Szczególnie za pierw-
szym razem, był zupełny półmrok i jej toa-
leta z czarnego aksamitu, fryzura, wszy-
stko, aż do tego czego ujrzeć nie mogłem,
kazało mi ją uznać za porywającą w swej
piękności, podobnie jak jest nią przez swój
wzrost. Któregoś z dwóch wieczorów po-
przednich pani Kalergis przyszła pierwsza.
Grała, ale niezbyt przyjemnie. W zamian
za to jest naprawdę bardzo piękna, kiedy
grając podnosi oczy w taki sam sposób jak
Magdaleny Rubensa.

Sobota, 14 kwietnia 1849. — Wieczór u
Chopina; zastałem go bardzo osłabionego,
bez oddechu... Powiedział mi, że nuda jest
dlań najokrutniejszą udręką. Zapytałem,
czy nie znał przed tym uczucia tej niezno-
snej pustki, którego doświadczałem wielo-
krotnie. Odrzekł, że zawsze umiał zająć
się czymkolwiek. Zajęcie, nawet najmniej
ważne, wypełnia czas i skraca cierpienia.
Inna rzecz to smutki.

Valmont, 20 października, 1849. — Do-
wiedziałem się po śniadaniu o śmierci bied-
nego Chopina. Dziwna rzecz! Z rana wsta-
łem z łóżka, uderzyła mnie ta myśl. Wiele
już razy doznawałem przeczuć tego rodza-
ju. Cóż za strata! Jacy niegodni łajdacy
zajmą jego miejsce, gdy ta piękna dusza
oddaliła się od nas!

Paryż, czwartek 26 lutego 1852. — Wie-
czór u panny Rachel. Bardzo była przyjem-
na. Spotkałem tam Musseta i powiedziałem
mu, że każdy naród posiada smak tyl-
ko w tych dziedzinach, w których przodu-
je. Francuzi nadają się tylko do rozmów i
czytania. Nie mieli nigdy smaku w muzyce,
ani w malarstwie. Malarstwo słodkawe i
kokietyjne... Wiele mistrzowie Lesueur
i Lebrun nie mają szkół. W malarstwie
przede wszystkim maniera; w muzyce pra-
wie to samo.

Poniedziałek, 28 listopada 1853. — Pre-
miera „Mauprat”. Wszystkie sztuki pani
Sand mają tę samą kompozycję, albo ra-
czej ten sam brak kompozycji: początek
jest zawsze pikantny i obiecuje ciekawy
ciąg dalszy; środek sztuki wlecze się wśród
tego, co autorka uważa za rozwój charak-
terów, a co jest tylko sposobem wypraco-
wywania akcji.

Wydaje się, że w tej sztuce, jak i w in-
nych, poczynając od drugiego aktu, aż do
końca — jest ich sześć — sytuacja nie po-
stępuje ani o krok: ten młody człowiek o
nieokrzesanym charakterze, któremu na

wszystkie sposoby mówi się, że się go kocha, nie przestaje rozpaczać, unosić się i bzdurzyć. Zupełnie jak w „Pressoir“¹⁾

Biedna kobieta! Walczy przeciwko naturze, która zabrania jej pisać sztuki; ma powłedzenia pełne uroku; tu kryje się jej talent. Lecz jej cnotliwi wieśniacy są nużący; jest takich dwóch w „Mauprat“. Wielki pan jest równie cnotliwy, młoda osoba nienaganna, rywal młodzieńca pełen obyczajności i skromności... Nie brak i małego, biednego pieska, który prowokuje śmieszne sytuacje. Pani Sand brak taktu na scenie, podobnie jak i w powieści; nie pisze dla Francuzów, chociaż pisze doskonałym francuskim; zaś dzisiejsza publiczność nie jest przecież bardzo wymagająca. Pani Sand przypomina Dumasa, który zawsze niedbały lekceważył wszystko i sądził się ponad tym, co ogół przywykł szanować. Pani Sand ma bezsprzecznie wielki talent, lecz mniej jeszcze niż większość pisarzy wie o tym, co dla niej jest najbardziej odpowiednim. Czy znowu jestem niesprawiedliwy? Lubię ją mimo to, lecz trzeba powiedzieć, że dzieła jej nie przetrwają. Brak jej smaku.

2 maja 1855. — Wieczór u tej niedoręcznej Paivy²⁾. Cóż za towarzystwo! Jakże rozmowy! Młodzi ludzie z brodami i bez bród; młodzi premierzy w wieku lat czterdziestu pięciu, baronowie i księżęta niemieccy, dziennikarze, codziennie nowe postaci! Osiupiałem od tego nonsensu i braku smaku. Pociw Dumas uważa, że to jest towarzystwo!

3. O MALARSTWIE, MALARZACH WSPÓŁCZESNYCH I STARYCH MISTRZACH

Paryż, wtorek 19 stycznia 1847. — Panteon. Sklepienie Groza; Niestety! Jalone, niepotrzebne. Pendantsy Gérauda, których nie znam. „Śmierć“, „Sława“ z Napoleone w ramionach, z przodu na kolanach jakiś nieznany mi dziki; „Ojczyzna“: wielka kobieta uzbrojona i spowita w krepę przed grobowcem, na ziemi wyciągnięci ludzie, nad grobowcem leżąca postać — jedyny piękny fragment w tym dziele; piękna postać, piękny ruch, oko podbite w nie wiadomo jakim przypadku; „Sprawiedliwość“ nie mogę sobie przypomnieć szczegółów tego obrazu. „Śmierć“: kobieta podtrzymuje czy też uderza niewiadomo kogo, młody jeszcze mężczyzna usiłuje zatrzymać się przed pomnikiem, którego charakter jest bliżej nieokreślony; poza mężczyzną nie ma. Z przodu zagadkowo wyciągnięci inni ludzie. Wszystko to w okropnym kolorze. Nieco barwy łupkowych dachówek, tony, które przezierają jeden przez drugi, z wszystkich stron: rażąca polyskliwość uzupełnia wrażenie nieznosnego ubóstwa. Rama złocona, źle dobrana do pomnika, zajmuje zbyt dużo miejsca przeznaczonego na malarstwo.

3 kwietnia 1847. — U pana de Morny³⁾. Przepych jakiego nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie. Obrazy poprawiają sytuację. Ma wspaniałego Watteau. Uderzyło mnie podziwu godne rzemiosło tego malarstwa, połączenie osiągnięć Flandrii i Wenecji. Lecz kilka Ruysdaelów, przede wszystkim śnieg i pewien pejzaż morski, zupełnie prosty, gdzie widać tylko morze w niepogodę, wydały mi się szczytem sztuki, ponieważ doskonałość jest tu zupełnie ukryta. Ta zdumiewająca prostota osłabia wrażenie jakie wywiera Watteau i Rubens; za bardzo są artystami. Mieć w swoim pokoju obrazy tego rodzaju, byłoby najśrodkową rozkoszą.

30 kwietnia 1847. — Byłem u Souty⁴⁾, gdzie widziałem „Zuzannę“ przypisywaną Rubensowi. Jest to Jordaens, jeden z najbardziej charakterystycznych: wspaniały obraz.

Można tu zobaczyć kilka nowoczesnych obrazów ze zbiorów Souty⁴⁾, które robią smutne wrażenie przy boku Flamandów. To, co przynosią w tych wszystkich wieczystych płótnach, to zupełny brak charakteru. W każdym widać czego chciał autor, lecz żadne nie nosi na sobie znamienia geniuszu. Należy tu wyliczyć „Aleję“⁵⁾ Rousseau, która w wielu partiach jest dziełem doskonałym.

Jordaens jest arcydziełem naśladownictwa i to naśladownictwa szeroko i właściwie rozumianego w malarstwie... To malarstwo, to największa możliwa próba połączenia w sposób najdoskonalszy prawdy rysunku i koloru, z wielkością, poezją i wdziękiem — co jest całkowicie nieosiągalne. Z początku podbiła mnie siła i umiejętność tego malarstwa i zrozumiałem, że dla mnie byłoby równą niemożliwością malować tak żywo, jak posiadała również uboga wyobraźnia... Obraz Rubensa wzruszył mnie bardziej; ale jakaż różnica między tymi dwoma ludźmi! Rubens poprzez swe jaskrawe barwy i ciężkie formy osiąga doskonałość najbardziej potężną. Siła, gwałtowność, wybuchowość rozgrzesza go z braku czasu i wdzięku.

Piątek, 6 czerwca 1851. — ...Może odkryje się kiedyś, że Rembrandt jest o wiele większym malarzem niż Rafael.

Piszę to bluźnierstwo, od którego mogą stanąć debem włosy na głowach wszystkich akademików, choć nie zajmuję zdecydowanej pozycji; dochodzę tylko do przekonania w miarę tego jak biegną lata, że prawdą jest rzeczą najpikniejszą i najbardziej mądrą. Rembrandt nie posiada wcale wzniosłości Rafaela, jeśli komu o to chodzi.

Może tę wzniosłość, którą Rafael ma w liniach, w majestacie każdej ze swych postaci, Rembrandt posiada w tajemniczej koncepcji tematu, w głębokiej naiwności wyrazu i gestów. Chociaż można bardziej cenić wspaniałą emfazę Rafaela, która odpowiada, być może, wielkości pewnych tematów, udaloby się stwierdzić, nie dając

powodów do ukamienowania ludziom dobrego smaku — wymagam jednak smaku prawdziwego i szczeroci — że wielki Holender był bardziej z urodzenia malarzem, niż pilny uczeń Perugina.

Środa, 30 listopada 1853. — ...Widziałem u księżnej⁶⁾ portret księcia Adama malowany przez Delaroche'a; pomyślałby kto, że to upiór jakiegoś nieszczęśnika, wydaje się, że autor wyciągnął mu całą krew z żył i bardzo wydłużył twarz. Oto, co posługując się określeniem samego Delaroche'a można nazwać poważnym malarstwem. Mówiłem mu pewnego dnia o cudownych Murillach marszałka Soult'a, które dzięki uprzejmości marszałka miałem okazję podziwiać; ale, powiedział Delaroche, to nie jest malarstwo poważne.

4. REFLEKSJE WIEKU DOJRZAŁEGO
Champrosay, niedziela 24 czerwca 1849. — Zły nastrój do pracy w ciągu poranka. Próbowałem szkicować Samsona i Dalila; pozostałem przy białym ołówku.

Popołudniu byłem w lesie... Uparłem się, że zrobię bukiet z polnych kwiatów; układałem je idąc przez krzaki, z wielką szkoda dla ubrania i moich palców, pokłuty przez ciernie. Ta przechadzka wydała mi się rozkoszną. Pogoda zmieniła się, duszne, burzliwe i upalne powietrze poranka zastąpiło słońce; jego światło nadawało wszystkim akcent radości, którego nie dostrzegałem niegdyś w porze zachodu. Z wiekiem staję się mniej czuły na wrażenia melancholijne, budzące się we mnie dawniej w obliczu przyrody; idąc, cieszyłem się z tego. Cóż więc straciłem wraz z młodością? Kilka złudzeń, które napełniały mnie, przyznaję, szczęściem dość żywym — na krótko; tym samym jednak stawiały się przyczyną proporcjonalnie odmierzonych goryczy.

Paryż, środa 3 listopada 1853. — Obiad u księżnej Marceliny⁷⁾. Duet Mozarta na kontrabas i fortepian, początek przypomnia „Du moment qu'on aime“. Duet idem Beethovena, który już znałem.

Jakież wspaniałe jest moje życie! Przyszło mi to na myśl, gdy słuchałem tej pięknej muzyki, zwłaszcza Mozarta, która od dycha spokojnym rytmem uporządkowanej epoki. Jestem w tym okresie życia, kiedy zgłębiam szalonych namiętności nie miesza się ze słodkimi doznaniem, których źródłem są rzeczy piękne. Nie znam przykrości i wzniosłości nudziarstwa — udziału wszystkich prawie ludzi; zamiast głowić się nad kłopotami, rozmyślam o Rubensie i Mozarcie; przypominam sobie melodię czy obraz, oto mój wielki kłopot w ciągu tygodnia.

Zabrałem się do pracy z równym zapałem, z jakim inni biegną do kochanek i porzuciwszy ją, wnoszą do mej samotności, czy rozrywki, których śpieszę szukać, uroczyste wspomnienie, mało przypominające podejrzane rozkosze kochanka...

ZE SŁOWNIKA SZTUK PIĘKNYCH⁸⁾

Cień. W gruncie rzeczy cieni nie ma. Istnieją tylko refleksy. Konieczność rozgraniczenia cieni. Ciągłe są zbyt mocne.

Akademie. To co powiedział Voltaire: że nie stwarzają wielkich ludzi.

Smak. Odnosi się do wszystkich sztuk.

Technika. Mało wyjaśnić w książkach na ten temat. — Uwielbienie dla fałszywych technik w złych szkołach. Ważność techniki prawdziwej w osiągnięciu doskonałości dzieła. Najdoskonalsza u największych mistrzów: Rubens; Tycjan, Veronese, Holendrzy; ich troska osobista, własnoręczne przygotowywanie farb. Ta tradycja całkowicie zaniedbana przez malarzy nowoczesnych. Złe wykonanie, niedbałość w przygotowaniu, płótna, pendzle, ohydne oleje, mało staranności.

Boucher i Vanloo. Ich szkoła: maniera, zaniechanie wszelkich poszukiwań, zanik naturalności. Technika godna uwagi. Reszta z tradycji.

Watteau. Bardzo pogardzany w czasach Davida i uznany znowu. Podziwu godne rzemiosło. Jego wyobraźnia nie wytrzymuje porównania z Flamandami. Przy Ostade'm, Van de Valde'm jest tylko teatralny.

Dürer. Malarz prawdziwy to ten, kto zna wszystko w przyrodzie. Postacie ludzkie, zwierzęta, pejzaż, traktowane są w sposób równie doskonały. Rubens z tej samej rodziny.

Wyraz. Że nie należy stosować go aż do wywołania niesmaku. To co mówi na ten temat Mozart.

Szkic. Trudno powiedzieć czym na przykład był szkic u Tycjana. Dotyk tak mało widoczny, ręka wykonawcy ukryta tak zupełnie, że środki, przez które tę doskonałość osiągnął pozostają tajemnicą... Tycjan pozostawił szkice przygotowane do obrazów, lecz są one różnorodne: jedne zupełnie proste w tonach szarych, inne pocięte niejako wielkimi plamami o barwach prawie, że jaskrawych; oto co nazywa się kuchnią malarzką (czego brak zupełnie Davidowi i jego szkole).

Technika Corregia to prawie ten sam problem, chociaż trochę kremowy odcień jego obrazów i delikatność kontrastów pozwalają przypuszczać, że zaczynał prawie zawsze od szarego szkicu (Powiedzieć o Prud'honie i szkole Davida. W tej szkole szkic jest sprawię żaden, ponieważ trudno nazwać szkicem zwyczajne smarowidła, o krok dalej posunięte, niż rysunek i pokryte całkowicie farbą).

Proporcje. Doskonałość Partenonu, bezsens Madelaine.

Oryginalność. Czy oryginalność polega na nowości pomysłu, na pewnych zaskakujących efektach?

Wyrafinowanie. O wyrafinowaniu w epokach upadku.

wybrała i przełożyła Joanna Guze

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

ANTYAMERYKANIZM WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI AMERYKAŃSKIEJ

ZBLIŻAJĄC się do literatury amerykańskiej, winniśmy dokonać przeglądu narzędzi poznawczych i metod oceny, które nam służą do wartościowania zjawisk sztuki. Aparatura naszego odczuwania i postrzegania wydoskonaliła się bowiem na materiale omdleń, niż ten, który nam daje do przeżywania współczesni pisarze amerykańscy. Nie o to chodzi, byśmy wyzbyli się intelektualizmu. Nie o to także, abyśmy wzbudziili w sobie potrzebę mifu. Nie wszystkie wyrzeczenia, podobnie jak nie wszystkie akty strzeliste, są na zawołanie możliwe. Ale — i to wydaje mi się konieczne — ani zjawisk ukazanych w powieściach Faulknera, Caldwell, Steinbecka i Wrighta, ani powieści samych, ani ich autorów, nie powinniśmy mierzyć tą samą miarą, którą przykładamy do utworów współczesnych pisarzy Europy Zachodniej. Przedzaj czy później — i to jest nieuniknione — każdy zauważy, że pisarz amerykański nie podobny jest do kłisz, na której wytłoczono jego podobieństwo do Celine'a, czy Sartre'a.

Trafna ocena współczesnej twórczości amerykańskiej jest sprawą dosyć kłopotliwą. Szczególnie trudno umieścić w kategoriach już wypróbowanych postawy ideowe amerykańskich pisarzy. Czy są postępowi? Czy też tylko anarchiczni? Czy walczą w

ogóle? Czy są świadomi celu walki? Czy też może obijają się o kanty świata, w którym żyją?

Wielorakie mogą być odpowiedzi na te pytania, atakujące każdego, kto się z literaturą amerykańską zetknął. Kazimierz Brandys opublikował negatywny komentarz do ideologii tej literatury. Widzi on ją jako „objaw drobnomieszczańskiego popłochu na widok katastrofy kapitalizmu“. Jeden z krytyków francuskich natomiast wskazuje na literaturę amerykańską, jako na największe niebezpieczeństwo, które obecnie zagraża kulturze mieszczańskiej.

Zagadnienie więc można i w ten sposób postawić: Czy literatura amerykańska nie powołana jest przypadkiem do odegrania podobnej roli w społeczeństwach zachodnich, jaką w społeczeństwie rosyjskim odegrała literatura przedrewolucyjna i rewolucyjna? Pytania wywołują pytania. Ta sprawa jest i długo będzie otwarta.

Weźmy przykład, pierwszy z brzegu, a ukaże nam on trudność zaklasyfikowania jednego zjawiska. John Steinbeck po opublikowaniu powieści „W niepewnej walce“, w której obnażył konflikty społeczne i ukazał typ bojownika, spotkał się ze stronnymi komunistów amerykańskich z zarzutem (życzliwym, ale zarzutem) sentymentalnego idealizowania. Lecz przecież Steinbeck przemówił do kapitalistycznego społeczeństwa językiem dla tego społeczeństwa zro-

zumiałym. Niebawem zauważono, że metodą bardzo niepostępową można się w specyficznych warunkach przysłużyć sprawie postępu. Wkrótce „W niepewnej walce“ zostaje odznaczone przez Commonwealth Club.

Oto drobny przykład sprzeczności, na jakie zjawiska ukazane w literaturze amerykańskiej nas narażają. Takich jest więcej. Winniśmy zdobyć się na nieufność do naszej, zaprawionej na innym materiale zdolności osądzania, gdy się zbliżamy do amerykańskiej literatury.

I właśnie nie wydaje mi się słuszne, aby twórczość amerykańskich pisarzy wartościować tą samą miarą, która nam służy do szacowania dzieł Gide'a, Celine'a i Sartre'a. Amoralizm „Lochów Watykanu“, anarchizm „Podróży do kresu nocy“ i egzystencjalistyczna rozpacz „Drogi wolności“ — to są nazwania stanów drobnomieszczaństwa w obliczu katastrofy kapitalizmu. Nie wydaje mi się natomiast słuszne, aby wliczać w takie, i tylko takie, ramy twórczości Faulknera, Caldwell, Steinbecka czy Wrighta. Postawa tych pisarzy uwarunkowana jest przez sprawy inne, rozleglejsze niż los drobnomieszczaństwa. Żaden z wymienionych nie może być uważany za przedstawiciela tej klasy społecznej. Żaden z nich z nią się nie solidaryzuje. Amoralizm Caldwell, purytanizm Faulknera i Steinbeckowski pesymizm, to nie są objawy przeżywania przez drobno-

mieszczaństwa dwóch wojen i jednego kryzysu ekonomicznego. (Twórczość Johna Merguanda możemy w ten sposób komentować). W literaturze amerykańskiej ukazany jest dramat nie drobnomieszczaństwa tylko, ale w ogóle dramat człowieka żyjącego w kapitalistycznym świecie.

Zauważmy jeszcze, co następuje: Amoralizm, anarchizm czy pesymizm w literaturze zachodnio-europejskiej to są nie tylko objawy epidemii szerzącej się w drobnomieszczaństwie, to są dzisiaj przedewszystkim truizmy, którymi kapitalizm zmierza do porażenia dorastających do zwycięstwa nad nim „dołów społecznych“. Prądy literackie francuskiego drobnomieszczaństwa, czy to był nadrealizm, czy to jest egzystencjalizm, przeobraziły się w narzędzia walki z postępowym społeczeństwem. Współczesna literatura francuska w swoich najbardziej reprezentacyjnych dziełach wyraża niechęć do dokonania przeobrażeń. Odzwierciedla zastygłość, marazm. Tym samym paraliżuje wolę walki. Czy to będzie metafizyczny optymizm nadrealistów, którzy mieli nadzieję wyznaczenia owego miejsca w umyśle, skąd życie i śmierć, nieskończoność i skończoność... etc. nie będą się wydawać sprzecznościami; czy to będzie sartrowski pesymizm przeciwstawiający byt i istnienie, skąd wyprowadza się zaprzeczenie jakiegokolwiek prócz śmierci wartości niezmiennych w tym świecie, który jeśli jest to już nie istnieje, a jeśli istnieje to jeszcze go nie ma; nadzieja i rozpacz

¹⁾ Inna sztuka George Sand wystawiona w tym samym czasie. ²⁾ Hrabina Paiva, jedna z czołowych przedstawicieli paryskiego półświatka w okresie Drugiego Cesarstwa.

³⁾ Kolekcjoner obrazów. ⁴⁾ Marchand paryski.

⁵⁾ „Aleja Kasztanowa“ Teodora Rousseau.

⁶⁾ Marceliny Czartoryskiej.

⁷⁾ Czartoryskiej.

są tam niewspółmierne z dobrem i złem człowieka. Tutaj widzimy popłoch drobnomieszczaństwa w obliczu katastrofy. Oczywiście!

Dlatego idee postępu społecznego we Francji wyraża literatura, która nie jest zbyt reprezentacyjna. Społeczne ruchy masowe dla własnego zdrowia muszą być niezainteresowane w powtarzaniu tych wartości artystycznych, które szerzą choroby drobnomieszczańskie. Literatura „czarna” broni dzisiaj, wciąż z powodzeniem, okopów św. Trójcy. Sprawa człowieka dzieje się poza tą literaturą.

A właśnie pozycja pisarzy amerykańskich, nie tylko tu w Europie, ale w ich własnym społeczeństwie jest całkowicie odmienna. Tam gdzie idee postępowe nie wcieliły się w wielkie organizacje masowe, gdzie związki zawodowe dalekie są od chęci obalenia kapitalistycznego ustroju, pisarz amerykański tworzy „Grona gniewu”. Nie pławi się w marazmie, lecz słowem swoim rani, rozrywa, walczy. Oczywiście, że walczy. Walka jego nam, czytelnikom europejskim, którzy mamy jednego, konkretnie nazwanego wroga przed sobą, wydaje się być szamotaniem się we wszystkie strony. Pisarz amerykański w naszych oczach sprawia wrażenie człowieka biorącego udział w ulicznej bijatyce. Wali na prawo i lewo, z zamkniętymi oczami. Wszystko co na drodze, to nieprzyjaciel. Nie posiada tych cech, jakie chcielibyśmy, by wojownik posiadał.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że świat, w którym żyje pisarz amerykański, wyznacza taki charakter jego walki. Trzeba wziąć pod uwagę i to, że pisarz amerykański jest sam. Że przeciwko sobie ma całą Amerykę. Po wrogię mu stronie stoi człowiek amerykański, trwa cywilizacja amerykańska wyznaczona przez amerykańskie prawo do linczu, amerykańskie prawo do miernoty i amerykańskie także prawo do optymizmu...

To jest pewne: współczesni pisarze amerykańscy, podobnie jak wyprzedzający ich o pokolenie Dreiser i Lewis, czerpią swój rozmach i nie lekają się określeń również nas angażujących, wielkość swojej sztuki przede wszystkim z negacji świata, w którym żyją. „Cała literatura, która cokolwiek znaczy w Ameryce, Północnej — pisze krytyk francuski — potępia człowieka Ameryki, jej obyczaje i — od alkoholizmu do linczu, od kapitalizmu do życia uniwersyteckiego — wszystko to, co oparte jest na kulcie dolara”. I właśnie: wśród rozlicznych odmian amerykańizmu wdzierającego się do Europy, jedna tylko literatura (wyluczam oczywiście Millera) nie przemyci bomby atomowej. „Hiroshima” Johna Herseya nie jest bynajmniej apoteozą potęgi amerykańskiej. Podobnie jak powieści Caldwell’a i Steinbeck’a nie są hymnem na cześć amerykańskiego raj. Współczesna literatura amerykańska szerzy w Europie prawdziwą wiedzę o Nowym Świecie. Rozpowszechnia ona kuli antyamerykanizmu. Gdyby reżim Trumana — parafrazując cytowane zdanie francuskiego krytyka — miał do dyspozycji trochę zdrowego rozsądku, to przede wszystkim zastosowałby drogie mu prawo linczu do amerykańskich pisarzy. Pozbyłby się demaskatorów.

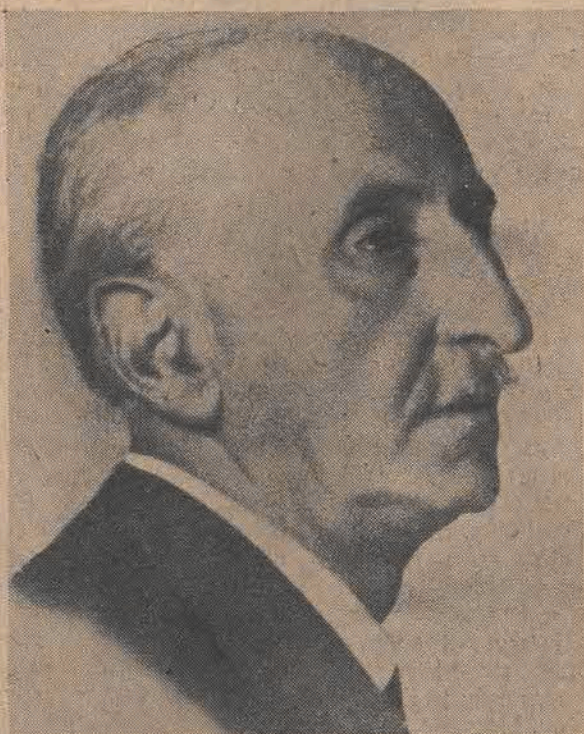
Oczywiście każde uogólnienie zawiera w sobie ziarno fałszu. Nie można generalizować argumentów za, tak samo jak nie można generalizować zarzutów. Zagadnienie literatury amerykańskiej jest dostatecznie złożone i ani prokurator, ani obrońca, sam nie da sobie z nim rady. Muszą działać w porozumieniu.

Mówimy: pesymizm literatury amerykańskiej. Prawda i nieprawda zarazem. Nie schodząc z płaszczyzny tej literatury można jednak określić złożoność tego zagadnienia. Między pesymizmem Henry Millera a pesymizmem Wright’a i Steinbeck’a jest przepaść nie tylko słowami wykopana.

Chociaż to może się komuś wydać paradoksalne, to jednak Henry Miller jest najbardziej europejskim z amerykańskich pisarzy. (Przymiotnik „europejski” od jakiegoś czasu przestał określać jakoś i poziom. To dzisiaj nazwa choroby. Moim zdaniem, złą się obecnie oddaje przyszłemu pisarzowi „europeizując” go w oczach jego kraju). Henry Miller od Europejczyków przejął bakcyla zarazy „naszych czasów”.

Przypatrzysz się mu się z bliska, zauważymy, że żyje on w podobnie absurdalnym świecie jak świat Celine’a. Że świat jego zaludniony jest podobnie absurdalnymi ludźmi i sprawami jak świat Sartre’a. Świat millerowski jest bardzo podobny do tego, w którym dojrzewają steinbeckowskie gro-

BOLESŁAW LEŚMIAN 1937 — 1947



PRZEMIANY

Tej nocy mrok był duszny i od żądz parny,
I chabry, rozwidnione suchą błyskawicą,
Przedostały się nagle do oczu tej sarny,
Co biegła w las, spłoszona obcą jej żrenicą, —
A one, leż jej modrzęć, mknęły po sarniemu,
I chciwie zaglądały w świat po chabrowemu.

Mak, sam siebie w śródpolnym wykrywszy bezbrzeżu,
Z wrzaskiem, który dla ucha nie był żadnym brzmieniem,
Przekrwawił się w koguta w purpurowym pierzu,
I aż do krwi potrzasał szkarłatnym grzebieniem,
I piał w mrok, rozdzielając dziób, trwogą zatruty,
Aż mu zinał prawdziwe odpiły koguty.

A jęczmień, kłosa pragnieniem zazieleniwszy gestem,
Nasroził nagle złościa zjatrzone oścory
I w złotego się jeża przemianą z chrzestem
I biegł, kłując po drodze ziół nikiel zapory,
I skomlał i na kwiaty boczył się i jeżył,
I nikt nigdy nie zgadnie, co czuł i co przeżył?

A ja — w jakiej swą duszę sparzyłem pokrzywie,
Że pomykam ukradkiem i na przelaj miedzą?
I czemu kwiaty patrzę na mnie podejrzliwie?
Czy coś o mnie nocnego wbrew mej wiedzy — wiedzą?
Com czynił, że skroń dłońmi uciskam obłama?
Czem byłem owej nocy, której dziś już nie ma?

URSZULA KOCHANOWSKA

Gdy po śmierci w niebiosach przybyłam pustkowiu,
Bóg długo patrzył na mnie i głaskał po głowie.

— „Zbliź się do mnie, Urszulo! Poglądasz jak żywa...
Zrobisz dla cie, co zechcesz, byś była szczęśliwa”.

— Zrób tak, Boże — szepnęłam — by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam — w Czarnolasie. —

I umilkłam zleknioma i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął — i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz — Czarnolas.

I sprząty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!

I rzekł: „Oto są — sprząty, a oto — donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!”

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładałam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!”

I odszedł, a ja zaraz krzątałam się, jak mogę, —
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę —

I w suknię najróżowszą ciału przyoblekam
I sen wieczny odpędzam — i czuwam — i czekam...

Już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słyszę kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w pierś zamiera... Nie!... — To — Bóg, nie oni!..

W CZAS ZMARTWYCHWSTANIA

W czas zmartwychwstania Boża moc
Trafi na opór nagłych zdarzeń
Nie wszystko stanie się w tę noc
Według niebieskich wyobrażeń.

Są takie gardła, których zew
Umilkł w mogile — bezpowrotnie.
Jest taka krew — przelana krew,
Której nie przelał nikt — dwukrotnie.

Jest takie próchno, co już dość
Zaznało zgrozy w swem konaniu!
Jest taka dumna w ziemi kość,
Co się sprzeciw — zmartwychwstaniu!

I cóż, że surma w niebie gra,
By nowym bytem — świat odurzyć?
Nie każdy śmiech się zbudzić da!
Nie każda kza się da powtórzyć!

na gniewu „zapowiadając przyszłe winobrania”. Przeciwnie niemu właśnie zwrócony jest antyamerykanizm całej literatury, „która cokolwiek znaczy w Ameryce Północnej”.

Któż to bowiem jest Miller? Fetyszysta otoczony symbolami niemocy i niewyżycia. Neurastenik, wywołujący czarne widzenie niemożliwych przeżyć i pławiący się w rozkładanym liryzmie. Sam chory śmiertelnie, niewiarę w uleczenie przerzuca na wszystko, gdziekolwiek spojrzysz.

Autor dwóch „Zwrotników” jest zbyt egotyczny, zbyt zaśluchany i zapatrzonny we własne ja (to „wewnętrzne”), aby się rzucić w bijatykę. Szuka bóstwa i wymawia zaklęcia. To egzorcysta. To średniowieczny alchemik redivivus, który pracuje nad wynalazkiem bomby, aby wysadzić w powietrze wszechświat. Oczywiście od razu wszechświat. Z gwiazdami, które ogląda przez szczeliny pissuaru, z niebem i piekłem. Przyjemniaczek!

Rozpacz Millera to produkt europejskiego bezwładu intelektualnego i grozy amerykańskiej cywilizacji. To są właśnie przeniesione w warunki amerykańskie kompleksy drobnomieszczańskie starego świata. Skrzyżowanie strusia i srebrnego lisa!

Przed pesymizmem jednak Wright’a i Steinbeck’a zdejmując czapkę i skrobiąc się w głowę długo, nim go rozeznam. Jest to dla mnie wciąż pesymizm nierozeczany. Atypique. Zbyt wielki to zaszczyt, uważam dla drobnomieszczańskiej choroby, by wypatrywać ją w morderstwie Biggera Thomasa („Syn Ameryki”) czy też w rozpaczy głodujących Joadów z „Gron gniewu” Steinbeck’a.

Zło bowiem, które się rodzi i zwycięża w „Synu Ameryki” Richarda Wright’a nie jest wynalazkiem drobnomieszczańskiej wyobraźni. Czarne ghetto Ameryki jest rzeczywistością. Długo nieznana, długo przykrywana kolorową okładką „Chaty wuja Toma”. Wright zdarł tę okładkę.

Wright’a porównywano do Dostojewskiego. Dość łatwe i podążające porównanie. (Można dlań znaleźć również bliższe w czasie analogie. Meursault Camusa przypomina w gestach Biggera). Psychologia strachu „zrobiona” jest dogłębnie i przekonująco. Lecz spoza instynktów i schorzeń ludzkich wyziera prawda oskarżająca amerykańskie społeczeństwo. Nie ma ani warunków ani chorób absurdalnych. Odpowiedzialni są zawsze. „My — zwraca się biały obrońca do białego Trybunału, który ma sądzić Murzyna „Biggera Thomasa — przygotowaliśmy mord Mary Dalton”.

Książka Wright’a ukazuje grozę amerykańskiego świata. Groza ta jest potworna. Przytacza. Ilekroć jeszcze zbrodni popełnią tam niewinni zbrodniarze, myślimy. Lecz, mimo wszystko, czy to jest pesymizm? Nie. Kiedy zamurowane okno bardziej wzniesie wolę życia, niż piękny widok na przyszłość.

Wright ma prawo do obrony zła, gdyż jest to zło niezawinione. Tak samo jak ma prawo do szerzenia potrzeby walki ze złem. Książka jego w białym i w czarnym społeczeństwie tę podwójną rolę spełni. A kto chce znaleźć optymizm nazwany bezpośrednio, także, szukając go, znajdzie. „Czarny chłopiec”, inna książka tego pisarza ukazuje upór, upór zaraźliwy, jaki w człowieku tkwi i pędzi go wyżej. W tej autobiografii Wright kreśli historię czarnego chłopca, który bity przez życie, przez czarnych i przez białych, potrafił jednak zostać świetnym pisarzem. „Czarny chłopiec” jest lekturą równie pasjonującą, jak czytanie w dzieciństwie opowieści Jules Verne’a. Budzi uczucie podziwu dla ludzkiej wytrzymałości, energii, budzi wiarę, że nie ma takiego zła, którego by człowiek, nawet człowiek czarny żyjący w białym świecie, nie pokonał.

A Steinbeck? Cała twórczość tego pisarza wypełniona jest walką człowieka ze światem. Świat wiele razy zwycięża, lecz nie łamie. Człowiek z kłęk swoich czerpie doświadczenie do nowych, z większymi potem już szansami, prowadzonych zmagani. Niepowodzeń jest wiele. W każdej niemal książce jest pokazana czyjaś śmierć tragicznie niepotrzebna. Lecz są również pokazani ludzie, którzy przetrzymali. Są tacy, którzy jak mały Jody z „Czerwonego kuca”, po jednym przeżytym nieszczęściu mieli odwagę i siły, aby walczyć z następnym. To nie jest łatwy optymizm. Ale to jest optymizm trudnego świata.

W twórczości Steinbeck’a obserwujemy stałe dojrzewanie do jasnego, zdobywczego na świat spojrzenia. Nawet tragedia Lennego z „Myszy i ludzi”, mimo że przejmująca nie była niemożliwa do zniesienia. Piękno przyjaźni, siła związków ludzkich

przeżył strzał, którym George zabił Len-
nego. George potrafił zdobyć się na tak
bardzo ludzkie uczucie, że wołał sam za-
strzelić niedorozwiniętego przyjaciela aby
ochronić go przed zemstą społeczeństwa.
A „Grona gniewu” są już potężnym wezwa-
niem do walki o konkretne sprawy ludz-
kie. Nędza wypędzonych „ze swego” dzier-
żawców rolnych, pielgrzymka dziesiątków
tysięcy po pracę i chleb do Kalifornii, gro-
za egoizmu kapitalistycznego walka z poli-
cją i łamistrakami — to nie kanwa dla
pesymizmu drobniomieszczańskiego. To jest
wezwanie do walki o lepsze jutro człowie-
ka sponiewieranego przez kapitalizm.

W opowiadaniu „Przewodnik” dziadek,
który w młodości swojej prowadził masy
ludzkie, pędzone głodem ziemi, na zachód
Ameryki, odpowiada małemu Jody, gdy
ten wyraża nadzieję, że on również kiedyś
poprowadzi ludzi:

„Już nie ma dokąd pójść, Jody. Wszyst-
kie miejsca są zajęte. Lecz to jeszcze nie
jest najgorsze... Nie, to nie jest najgorsze.
Marsz na zachód... ludzie nie mają go już
w sobie. Marsz na zachód nie jest głodem.
To umarło”.

Lecz Tom w „Gronach gniewu” znalazł
drogę; nową drogę na zachód. Tom pój-
dzie przeciwko Ameryce.

„Ja będę zawsze tam, wszędzie, w cieniu.

Gdzie tylko obrócisz oczy. Wszędzie, gdzie
wybuchnie bijatyka o to, aby ludzie mieli
co jeść, będę tam. Gdzie glina będzie się
znęcała nad człowiekiem, będę tam... W
gniewnym krzyku ludzi, którzy mają puste
żołądki będę i w śmiechu małych bębnow,
kiedy głodne spodziewają się zupy. Będę
tam. A kiedy nasi będą mieli na stołach
to, co zasiali i zebrali, kiedy będą zamiesz-
kiwać domy, które sobie zbudowali... będę
tam”.

Wright, i Steinbeck, i Caldwell ukazują
zło Ameryki. Bardziej skomplikowany, pu-
rytański pesymizm Faulknera jest także wy-
zwaniem antyamerykańskim. Faulknerow-
skiego zła nie trzeba mierzyć aż metafizy-
ką. Faulkner będzie jaśniejszy bez sar-
rowskiego komentarza. W twórczości jego
występuje oskarżenie brutalności amery-
kańskiej cywilizacji. Przez powieści i opo-
wiadania tego pisarza przewija się pogląd,
że przekleństwo świata stworzyli ludzie,
którzy zdobywali go nieprawością i prze-
mocą. Faulkner ma ojczyznę swoją Amery-
kę leżącą na południu Stanów Zjednoczo-
nych (południe to przedstawia w swojej
całej twórczości), patrzy jak na ziemię
skrzywdzoną. Cywilizacja amerykańska zdo-
bywała ją kilkakrotnie, a gdy ją opanowa-
ła, to nie dla jej dobra. Niszczyła tylko ład
ekonomiczny i moralny tej ziemi. Zniszczo-

no Indian, aby założyć feodalizm. W woj-
nie secesyjnej feodalizm padł. Była to jed-
nak tylko klęska ekonomiczna dotychcza-
sowych patriarchów. Człowiek nie został
przeobrażony. Cywilizacja amerykańska o-
to się nie zatroszczyła. Przeciwnie, sprzy-
jała wydzwignięciu się nowej warstwy, bru-
talnej burżuazji, która yankesowski ideał
stopy życiowej zrealizowała i utrzymuje
metodami rasistowskimi. Czarny „obywa-
tel” Ameryki wyzwolony z niewoli feodal-
nej został zamknięty w ghetcie. Zbrodnie,
kaziroductwa i zbrocenia ukazane przez
Faulknera mają wielki sens społeczny. Mo-
żna ten sens przeżyć. Bo okrutny świat
degeneratów nie jest tworem Faulknerow-
skiej wyobraźni. To tylko Sartre może tak
go komentować. Ten świat — to błogosła-
wiony dar amerykańskiej cywilizacji.

Współczesna literatura amerykańska jest
oskarżeniem tej cywilizacji. Jest ona rów-
nież bronią zaczepną. Raz nie zawsze bez-
pośrednio, niezawsze celnie, ale spełnia rolę
niszczyliśką w świecie, w którym panuje
zakłamanie „demokratyczne” i kult dolara.

I to myślę, trzeba byśmy rozeznali: twór-
czość współczesnych Amerykanów zwróci-
ła jest przeciwko najpotężniejszej twier-
dzy wsteczności. Przeciwno kapitalistycz-
nej Ameryce.

Zbigniew Bienkowski

PAWEŁ HERTZ

LINIA NAJMNIEJSZEGO OPORU

SPRAWA upowszechnienia kultury
nie schodzi ze szpalt prasy co-
dziennej. W każdym niemal kul-
turalnym czy literackim dodatku powta-
rza się po kilkanaście razy, co tydzień,
rozmaite wyrzuty pod adresem pisarzy,
muzyków i malarzy, którzy rzekomo od-
cinają się od społeczeństwa i nie wypełnia-
ją swoich zadań. Te stormowania, zwy-
kle nieprzemysłane i pochopne, jak np.
zdanie pewnego śląskiego dziennika, które-
go współpracownik brnąc nieświadomie w
demaagogii nazwał w końcu jednego z naj-
wybitniejszych, i najbardziej właśnie zwi-
zanego w swojej twórczości z historią, poe-
tów polskich „reakcjonistą”, tracą niewi-
ność rodzinnej sprzeczki w chwili, gdy wy-
powiada je np. Stefan Kisielewski ze szpalt
„Tygodnika Powszechnego”. Jeśli gotów je-
stem przyjąć zdanie wspomnianego współ-
pracownika śląskiego dodatku literackiego
za błąd wynikający z niezrozumienia spraw
literatury, to już w żadnym wypadku nie
okaże tyle dobrej woli Kisielewskiemu. Fe-
lietoniści „Tygodnika Powszechnego” o-
rientuje się bowiem doskonale w mecha-
nizmie literatury i jego zarzuty pod adresem
lewicowych pracowników kultury wysuwa-
ne są jedynie w tym celu, by wznieść mię-
dzy nimi i społeczeństwem sztuczną prze-
gródę zbudowaną ze świadomej demagogii
i świadomie fałszywej troski o wpływ pisa-
rza na masy. Kisielewski bynajmniej nie
życzy sobie takiego wpływu i dlatego wła-
śnie sztucznie wyolbrzymia istotne trudności
porozumienia, jakie istnieją jeszcze w obe-
cnym stadium rozwoju historycznego mię-
dzy uformowanym w okresie przedwojen-
nym pisarzem i masami rozpoczynającymi
w okresie powojennym swoją drogę do kul-
tury.

Myślę, że o tych trudnościach, któ-
rych istnienia nie należy zaprzeczać, win-
no się dużo mówić i pisać, ale w nieco in-
ny sposób, niż to czynią niektórzy dzien-
nikarze. Być może, że powieść X. lub wiersz
Y. nie nadają się w tej chwili na użyt-
tek robotniczej świetlicy lub wiejskiego
klubu. Nie znaczy to jednak, że wskutek
tego robotnicza świetlica lub wiejski klub
będą całkowicie pozbawione poezji i pro-
zy. Nasza kultura jest tak różna i tak bo-
gata, jej zasięg wskutek specyficznego u-
kładu stosunków społecznych był przed
wojną tak niewielki, że humanistyczna
treść i doskonała technicznie forma naszej
literatury klasycznej na długie jeszcze la-
ta może służyć najszerszym masom lud-
ności, stanowiąc wspaniałą drogową kazi-
nę na drodze tych mas do kultury. Jest nie-
wątpliwie rzeczą wielkiej wagi, by nasza
współczesna literatura jak najszybciej sta-
ła się czytelną dla każdego, kto po książ-
kę sięgnąć zechce lub kogo do tego przy-
zwyczała nowa szkoła, świetlica, klub, or-
ganizacja społeczna, zawodowa lub poli-
tyczna. Jeśli jednak słyszę, że to upowsze-
chnienie kultury hamuje elitarna rzekomo
działalność pisarzy, plastyków czy muzy-
ków, wówczas mimowoli pragnę zadać py-

tanie działaczom kulturalnym i oświatow-
com: w jaki sposób zużytkowaliście istnie-
jące już dzieła artystyczne, które zarówno
dzięki mistrzostwu z jakim zostały napi-
sane, jak i dzięki temu, że treść ich może
dziś łatwo zostać przyswojona przez każ-
dego, kto potrafi czytać, służą jako najle-
pszy pomost między oddzielnymi doniedaw-
na trwającymi — kulturą i pracą?

Narzekając na brak książek współczes-
nych, które by nadawały się do szerokiej
lektury, działacze kulturalni i oświatowcy
nie uczynili prawie nic, by spopularyzo-
wać naszą świetną literaturę klasyczną.
Nie ma tanich i przyzwoitych wydań O-
rzeszkowej, Prusa, nie ma nowel Sienkie-
wicza, nie ma Żeromskiego, nie ma Rey-
monta! Ostatnio Borejsza przełamał to za-
pomnienie i ukazujący się w przeszło stu
tysiącach egzemplarzy „Rolnik Polski”
drukuję „Faraona”.

Obce i nieznanie niemal zupełnie pol-
skiemu robotnikowi i chłopu są nazwiska
Daniela Defoe, Dickensa, Tolstoja, Tur-
gieniewa, Cervantesa i setka innych wiel-
kich pisarzy, których w milionach egzem-
plarzy wydaje się w Związku Sowieckim,
słusznie rozumując, iż lektura klasyków
postępu w literaturze może i powinna wy-
kształcić światłego czytelnika literatury
współczesnej. Dopóki nie zacznie podsu-
wać się masom Turgieniewa, Zoli, czy
Dickensa i nie przestanie się narzekać, że
„Kuźnica” jest elitarna, dopóki zamiast ad-
hoc pisanych powieści, które bez mru-
gnięcia okiem drukują w swoich dzienni-
kach ci narzekający na niepopularność
współczesnej sztuki, nie zacznie się druko-
wać w odcinkach pism naprawdę dobrej
literatury, dopóty wszelkie ataki na lite-
ratów należy uznać za demagogiczne i czy-
nione po to, by zasłonić istotny stan rze-
czy na odcinku upowszechnienia kultury,
które coraz to częściej idzie po linii naj-
mniejszego oporu.

Wystarczy sprawdzić, poziom naszych
wystaw plastycznych, przesłuchać jeden
cały program dzienny Polskiego Radia,
gdzie dobra muzyka została skromnie u-
kryta w bliskiej północy dwudziestominu-
tówce, gdzie przez dzień cały rozbrzmie-
wają wszystkie drobniomieszczańskie prze-
boje, gdzie roi się od sentymentalnych i
banalnych tekstów, od językowej niedba-
łości i nieprzekonywująco podanej propa-
gandy. Wystarczy przypomnieć sobie, że
nagrodę plastyczną otrzymało malarstwo
Lasockiego, że w Łodzi np. nie ma w ogóle
filharmonii, że dopuszcza się na ekrany
filmy w rodzaju „Pepita Jimenez”, „Sere-
nada w dolinie słońca”, „Belita tańczy”
etc., że zalewają nas utwory w guście „Bar-
baro kłamiesz!”, że nie ma jeszcze ludowe-
go wydania Mickiewicza, ale już można
stworzyć pokaźny księgozbiór powieści
kryminalnych czwartego rzędu wydanych
w okresie władzy ludowej między rokiem
1945 i 47.

Upowszechnienie kultury polega przede
wszystkim na uprząstkowaniu masom lu-
dowym najwyższych klasycznych osiągnięć

kultury w zakresie literatury, malarstwa,
muzyki, teatru etc. Uprząstwienie — to
znaczy okazanie materialnej pomocy, to
znaczy stworzenie bibliotek, otwarcie wy-
staw, urządzanie koncertów i przedstawień.
Bibliotek złożonych z dobrych książek,
wystaw dobrych obrazów, koncertów wiel-
kiej muzyki, przedstawień mądrych i pię-
knych sztuk. Warunkiem upowszechnienia
kultury jest przede wszystkim jakość rze-
czy upowszechnionych. A o to, jak sądzić
należy, mało kto się u nas troszczy. Tros-
ka otacza dziś jak gdyby tylko to, by pi-
sarz współczesny już, natychmiast odpo-
wiedział na pytania dzisiejszego dnia. Ale
należy pamiętać, że ta odpowiedź nie bę-
dzie zrozumiała dla czytelnika, który nie
wie nic o Mickiewiczu, który nie czytał
Prusa, który nie słyszał Chopina, nie wi-
dział Matejki i któremu niechętnie poka-
zuje się „Hamleta”, twierdząc, że Hamlet
jest pesymistyczny.

Nie wiem również, czy osiągniemy co-
kolwiek na drodze zmniejszania trudności
intelektualnych, które, rzecz prosta, musi
zwalczyć każdy, kto sięga po książkę. Sły-
szalem, że w pewnym ministerstwie rozpa-
truje się projekt zmiany pisowni. Mamy
przestać używać „o kreskowanego” i „rz”.
Mówiono mi, że projekt ten ułatwi tysią-
com dzieci naukę poprawnego pisania. Nie
rozumiem tylko, dlaczego dzieci robotni-
cze czy chłopskie mają być mniej pojętne
od dzieci burżuazyjnych, które przecież
przez wiele lat uczyły się pisać „o kresko-
wane” i „rz” i jakoś piszą. Ten protekcyj-
ny, filantropijny stosunek do mas ludo-
wych, dla których wedle opinii niektórych,
zawsze „coś jest zbyt trudne”, albo „nie-
odpowiednie”, „niezrozumiałe” wydaje mi
się fałszywy. Nie znam zawartości Tretia-
kowskiej Galerii w Moskwie, gdzie jak mi
wiadomo wisi pokaźny zbiór obrazów za-
chodnich mistrzów, ale wiem, że popular-
nie zwana „Tretiakowka” jest dostępna
dla każdego, kogo interesuje malarstwo.
Nie znam dokładnego rocznego repertuaru
wielkich sowieckich teatrów, ale wiem, że
arcydzieła klasyczne rosyjskie i obce nie
schodzą z afisza. Dla mas są wielkie kon-
certy i wielotysięczne nakłady starych mi-
strzów światowej literatury. Surowo i słu-
źnie osądzał Lenin wszelkie koncepcje se-
parowania mas ludowych od wielkiej tra-
dycji europejskiej Rosji i postępowego Za-
chodu. Zarzucono „radykalne” i „lewico-
we” pomysły zastąpienia alfabetu rosyj-
skiego przez alfabet łaciński, a i z tego ro-
syjskiego alfabetu usunięto tylko te znaki,
których znaczenie było niezbyt istotne.
Choć nie mamy powodu, by ślepo wzoro-
wać się na doświadczeniach rosyjskich,
powinniśmy jednak śledzić je uważnie, dla-
tego, że tam właśnie dokonuje się od trzy-
dziestu lat ogromny proces upowszechnie-
nia kultury.

Dziecko, które się urodziło w Polsce w
roku 1945 należy się zdrowa i ożywcza ką-
piel. Boję się, że ci, którzy zmieniają wo-
dę, wylewają dziecko razem z kąpielą!
Paweł Hertz

NOWOŚCI WYDAWNICZE „CZYTELNIKA”

Podręcznik dla gimnazjów
ogólnokształcących i zawodowych

DĄBROWSKA J.
PETRUSEWICZOWA E.

GEOGRAFIA GOSPODARCZA EUROPY I WYBRANYCH PANSTW POZAEUROPEJSKICH

STRON 278
Zł 330

Biblioteczka Naukowa
Młodego Czytelnika

DYAKOWSKI B.

NASZE ZBOŻA

Opowiadania przyrodniczo - obyczajowe.

Ryciny Dyakowskiej J.

STRON 77
Zł 120

DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ

Antologia

Ułożyli i opracowali
JASTRUN M., POLLAK S.

(z 24 portretami)

STRON 487
Zł 900

SZOŁOCHOW M.

CICHY DON

Thum. Rogowicz W., Stawar A.

Tom II

Cz. I STRON 224
Zł 380

Cz. II STRON 253
Zł 430

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

RYSZARD MATUSZEWSKI

W poszukiwaniu rzeczywiście rygorów poetyckich

ZNALEZIENIE się Adama Ważyka w grupie liryków, dla których lata wojenne otworzyły okres szczególnie bujnego poetyckiego rozwoju, nie jeden z czytelników poezji przyjął zapewne jako swego rodzaju niespodziankę. Do roku 1939 Ważyk był znany wyłącznie jako poeta związany z krakowską grupą „Zwrotnicy”, autor dwu tomów wierszy, z których jeden ukazał się na piętnaście, drugi na trzynaście lat przed wojną. Oba te tomy — „Semafor” (1924), oraz „Oczy i usta” (1926) — ukazały się następnie w roku 1934 jako wiersze zebrane i z powodzeniem można było przypuszczać, że jest to rodzaj podsumowania działalności poety związanej z ruchem tzw. awangardy, która przeżyła już w tym czasie swój Sturm und Drang Periode. Wiersze Ważyka były w kołach amatorów poezji oceniane wysoko, tym niemniej los ich na giełdzie literackiej owego czasu nie był lepszy od losu całej, szczupłej choć ambitnej poezji nowatorskiej w Polsce. W oficjalnym życiu literackim pierwsza dziesięciolecie było okresem triumfu liryki „Skamandra”, w drugim — kiedy niektóre elementy liryki nowatorskiej przejęte zostały przez poetycką młodzież — Ważyk jako poeta zamilkł.

Kiedy dziś bierzemy do ręki wydane dotąd tomy czytelnikowskiej serii poetyckiej, „Wiersze wybrane” Ważyka uderza nas niewielką objętością. Ten szczupły tomik ma kształt jak gdyby mostu przerzuczonego z brzoza lat bardzo już dawnych ku współczesności nad rzeką milczenia. Nawet „Miejsce na ziemi” przemawiającego skrótami Przybosa zajęło więcej miejsca na papierze...

A jednak zarówno ten ograniczony objętościowo dorobek dwudziestu kilku lat twórczości, jak to milczenie — jakież są wymowne! Trudno wyobrazić sobie dziś w Polsce zbiór wierszy, który by równie dobitnie wyrażał dzieje przeobrażeń myśli poetyckiej, równie wyteżone dążenie do uświadomienia sobie własnej historycznej roli. Trudno na przestrzeni całej polskiej liryki minionych lat trzydziestu znaleźć zjawisko poetyckie, w którym by proces rozwoju społecznej świadomości pisarza został równie wyrażenie uosobniony. Bo — co tu mówić nie tylko każdy, reprezentowany kolejną serią utworów, etap tej poezji ma określone historyczne znaczenie. Zdać się je mieć również etap kilkunastoletniej paury.

Jaką była rola dawnej, przedwojennej twórczości Ważyka? Czym był ówczesny spór o poetykę, toczony między Skamandrem i awangardą? Czy nie stanowił o wyborze między afirmacją i negacją formuły przystających do wyobraźni ówczesnego czytelnika? Czy nie był sporem między młodzieńcą optymistycznym i w gruncie rzeczy ufą w porządek świata, którego kontury z chaosu pierwszej wojny światowej wyłaniały się dopiero, a grymasem pogardy i lekceważenia pokrywanych mistyfikacji i fintą? To prawda: wiele dostrzec się daje dzisiaj, kiedy na poezję tego czasu patrzymy z pewnej perspektywy, cech wspólnych w utworach tych jej przedstawicieli, którzy w owym czasie zwalczali się namiętnie: w wierszach wczesnego Przybosa i wczesnych przezeń poetów Skamandra, w „Semaforach” Ważyka i w liryce tak odrębnego odeń formalnie Tuwima. Różnice jednak są ważniejsze, i to nie te wyłączone, które dostrzega badacz cech formalnych ówczesnych kierunków poetyckich. Poprzez spór o formę przebiega spór o postawę wobec świata. Z jednej strony witalizm Skamandrytów nuciący się szybko samym sobą i ustępujący miejsca lirycznej zadumie poetyki aluzyjnej, nawrotom symbolizmu i oparom mistyki. Z drugiej — gorzki intelekt, zawiedzionego w próbach uporządkowania powszechnego chaosu, przywdziewająca wobec niego śmiałą, błazeńską maskę.

Nie! W tym miejscu rację ma czytelnik, jeśli zaprzeczy. Nie odnosi się to na pewno do większości przejawów ruchu nowatorskiego w poezji polskiej owego czasu: nie odnosi się ani do Przybosa, ani do Peipera, których nowatorstwo było wówczas bardzo optymistyczne i bardzo serio. Odnosi się jednak na pewno do Ważyka, jednego z nielicznych w Polsce pisarzy, których poetyckie procesy zdawały się mieć jakieś powiązania z procesami zachodzącymi w twórczości awangardowych poetów francuskich. W dwadzieścia lat później sam Ważyk napisze w przedmowie do „Antologii współczesnej poezji francuskiej”, o owym okresie: „Szamotanie się na pograniczu jawy i snów, kpiarstwa i grymasów obłądu były krańcowym objawem stanu duchowego inteligencji artystycznej”. Napisze to wyjaśniając sens i genezę nadrealizmu. Ważyk nie był nadrealistą w Polsce nie było nadrealizmu w ogóle. Jeśli jednak można mówić o jakichkolwiek pokrewieństwach choćby poprzedników tego kierunku, takich jak Apollinaire, czy też o jakichkolwiek przejawach zbliżonych w polskiej poezji owego czasu — trudno pominąć dawną twórczość Ważyka.

Wiele przemawia za oceną jaką niektórzy dają surrealizmowi, widząc w nim wewnętrzną rozterkę między buntem a ucieczką, między chęcią przekształcenia rzeczywi-

stości społecznej a chęcią odżegnania się od jej sensu. Rozterka byłaby odbiciem innej, zrozumiałej sprzeczności między pociągami postępowej inteligencji do przemiany społecznej, a lękiem przed jej treścią klasową. Zanim w ogniu drugiej wojny światowej stanowisko francuskiej klasy robotniczej nabrało w całej swej rozciągłości charakteru ogólnie narodowego, przyświecało na to stanowisko w latach międzywojennych oznaczało dla inteligencji groźbę ztrącenia swojej odrębnej świadomości. Treść klasowa była dla niej za ciasna, gdy tymczasem przesłanki rozumowe wskazywały tę a nie inną drogę historyczną. Ucieczka od sensu była niczym innym, jak uchYLENIEM się od tych natarczywych, nieodpartych przesłanek rozumowych. Wynikało to z istniejących wciąż jeszcze obiektywnych sprzeczności bytu inteligencji, która sprzedaje swoją pracę i w procesach produkcji spełnia tę samą rolę co robotnik, ale dobra materialne i duchowe spożywa przy stole mieszczańskim. Ta wewnętrzna sprzeczność bytu inteligencji — to może najgłębsze dno artystycznego rebusu tych czasów. Może więc kiedyś historia dojrzy w surrealizmie i pokrewnych mu orientacjach rozpaczliwą samoobronę tych, co w trudnych latach powikłań nie poszli na lep faszyzmu, i nie dając się wciągnąć w jego maskaradę ideologiczną, woleli włożyć maskę chimery z Notre Dame’u.

Oto diagnoza. Odpowiednio zlagodzona wobec samego jej autora, który nigdy w swej poezji, najbardziej intelektualnej z tych, jakie mieliśmy, od przesłanek rozumowych nie uchylał się całkowicie, mogła by zapewne wytłumaczyć nie jedną igraszkę z pogranicza „snu i drwiny” z okresu wczesnej jego twórczości. Tłumaczyła by też ona kilkunastoletnie milczenie poety w okresie nasilenia tych tendencji artystycznych, wobec których cała struktura jego myśli i wyobraźni była oporna i wroga.

Mówiłem do siebie głosem brata — samobójcy, i zamiast pisać — pióro stawiało kreski, znaki, chodziło po papierze jak sejsmograf, aż przysło. (Szkic pamiętnika)

Tłumaczyłaby wreszcie powrót Ważyka do poezji i jej przeobrażeń w okresie wojennym. Ostatnia „Wizja powojenna” wierszy poety, to jakby kłamra, w jaką ujęty zostaje zaznaczony cykl przemian. Znajdujemy w niej wytłumaczenie i nawiązanie do przebytej drogi poetyckiej w przepięknym wierszu „Katarynka”, którego alegoria dopiero przy zestawieniu z twórczością sprzed lat dwudziestu z wierszami takimi jak „Ślub Krzysztofa”, i jemu podobne, staje się zrozumiała.

O lata wzdargi, młode lata!

Przy katarynce Katarynny my upłynialiśmy ruiny zamków i mgieł waszego świata. O lata zgiełku! Nikt nie wierzy! Naszej piosence niewyrażonej. Nie licząc, ruin tych bankierzy, na niemoc naszej wyobraźni, dlatego że przez młode lata gra katarynka Katarynny i wzięła śliczna Małgorzata na zaręczynach snu i drwiny. O młode lata, płynięcie, lata! Nie my, to przyjdą po nas inni, materia nowa, dzisiaj twarda, jutro w ich słowach się upłyni, z waszego tyle będzie świata, ile uniosła nasza wzdarga przez tamte lata! Płynięcie lata, graj katarynko Katarynny, niech lata śliczna Małgorzata! Myśmy zerwali zaręczyny.

(„Katarynka”)

„Tyle z waszego będzie świata...” Kiedy zestawiamy kilkanaście „awangardowych” wierszy Ważyka z „Semaforów” oraz „Oczy i ust” z rozlewnym potopem liryki witalistów, bije w oczy konkretność i precyzja, okrutna ostryść widzenia poety „sprzymierzzonego z umysłem”. Mimo iż zdeformowane estetyka epoki daremnie poszukującej sensu w dziwnych wywołaniach się do stróż „niewyraźnej piosenki” poety dostatecznie wyraźne dla wrażliwego czytelnika kontury mieszczańskiego dzieciństwa wodzącego oczami za kalejdoskopem tych obrazów jakie niesły kino i książka, pobudzające ruchliwymi mirażami inteligencji „znużonego” ubogim pejzażem tramwajowych przystanków, sklepowych wystaw i reklam, klatek schodowych w czynszowych kamienicach, tanią magię ekranu i cyrku, rekwizytów tak ważnych w estetyce nowatorskiej poezji owych czasów.

Odnajdujemy w tych wierszach erotykę ostrą, choć bez tego rozpasania co u ówczesnych witalistów, zintelektualizowaną (np. prowokacyjny kolorystycznie i tematycznie, groteskowy wiersz „Panie i pastuchy”). Nawet biologizm późniejszych tuwimowskich wizji podskórny „pulsu rzeczy” odnajdujemy w wierszu „Apolog”, w wydaniu dosadnym lecz oszczędnym, zamkniętym kłamrą nadredu, rzeczowej interpretacji intelektualnej.

W niektórych wierszach „Oczy i ust” Ważyk podobnie jak niekiedy Francuzi wydaje się skondensowanym epikiem, obrazowym, niezwykle plastycznym, pozbawionym całkowicie cech tak bardzo dominujących w poezji

polskiej — nastrojowości, przymglenia, aluzyjności.

W związkach pomiędzy obrazowaniem poetyckim Ważyka a konstrukcjami malarstwa współczesnej mu epoki upatrywałbym temat oddzielnej rozprawy któregoś z estetyków. Oto czysty formizm, obraz który mógłby namalować Borowski czy Żak, w wierszu Hiramisa.

Wypukłe były owoce na wsi, gdzie rósł Hiramis, jajo listowia dzwigał jaworu gruby walec, a gdzie nad wsi pagórkami młyn promieniście zawisł szeroko rozkładały się błękitów spirale.

...za szpalą każdej przecznicy, wydrążonej w kubach, komin graniasty oczy rozdawał jak wykrzyknik, Nad nim w materce niebieskiej dębala dymu śruba, stroma katedra gorączki, do której ludzie przywykli.

Mamy imaginacyjny konflikt, form krubicznych i kulistych, tragizm nieosiągniętej kwadratury koła. Spotykamy jednak i popisy kolorystyki. Wszystko zależy od intelektualnych założeń poety — żonglera formy: pejzaż wołów stojących w wodzie nad błotną łąką i „czarnych, księżych poklętych od ospy”, gdzie wydaje się nam, że widzimy technikę pointylistyczną („Pejzaż”), płocie na świecącym nocą stawie bielejące jak twaróg („Cierpliwość rybka”), brzoze co nasyciona sodą i mosiadzem drga w przerebli światła; jest nawet picassowska, przełamana (w wierszu — graficznie) gitara („Katoda”).

W obrazowaniu tym, w jego czysto intelektualnych związkach, ujawnia się w pełni antynaturalizm, jako podstawa koncepcji wyobrażeń. W ten świat, choć umowny przez poetę w sposób najbardziej plastyczny i konkretny narzuca mu swą wizję: to poeta przeciwstawia światu swoje poszukiwania systemu. Przez chaos splecionych obrazów i sensów przemawia uczucie zbłąkania i niepokoju, nuta tragicznego zmagania się, niepozbawionego już wtedy świadomości bezsensu walącego się świata, (choćby w wierszu „Transatlantyk” 1924). Jednocześnie jako stały motyw powracają próby konstrukcji, poszukiwania ładu, dyscypliny intelektualnej.

Gwiazdy dyktują nam pojęcie ładu kinematograf jest wzorem zwięzłości przyszłość wytryska z miligrama radu

Uczmy się z gwiazd uczmy się z kina uczmy się z przyszłości

Znowu zmierzając się i dniejąc znowu do, ciebie tęsknie przyszłości Przemień moją mowę w złotą mowę bogów w jeden film dziesiątki mych odruchów

mglistych spręgnij mi ramiona jak dwa wiersze w dystych („Dyscyplina”)

Ale dopiero wielki obrót koła historii pozwoli z czasem dojść poecie do owej dyscypliny. Na razie wołanie to wydaje się daremne. Zaręczyn snu i drwiny nie prowadzą do żadnych rygorów rzeczywiście.

Odezwanie się Ważyka po latach milczenia w tym samym czasie i tym samym głosem, jakim przemawiali do podziemnej Francji Eluard i Aragon, ma też swoją całkowicie określoną wymowę. Nikt nie spodziewał się po autorze „Oczy i ust” wezwania „bracia do bronii”. Nikt nie liczył na to, że „Pożegnanie Inkipo”, pożegnanie świata dziecięcej fantastyki, tak bliskiego młodzieńczej wyobraźni poety zostanie zamanifestowane uroczystym złożeniem go do lamusa w roku 1940. Odtąd słowo jego będzie słowem nierównie prostszym i mniej dekoracyjnym niż przed laty. A przecież również precyzyjnym i zwartym. Wszystkie wiersze z cyklu „Serce granatu”, czy to patetyczne w swej surowości dzieje, czy przejmujący cykl horacjański („Doświadczenie”, „Spojrzenie”, „Gdzie sosna wielka”) czy romantyczna „Nike” — zawierają ten ton nowy, dawniej nieznamy, dziś główny i oczywisty.

Ale znów nie odruch, nie impuls, wyłącznie osobistego doznania, ale świadoma decyzja, celowo skonstruowana formuła rozstrzygać tu będzie o kształcie każdego utworu, o wyborze każdej metafory.

Wiersze te zawierają obraz intersubiektywnej prawdy zawartej w osobistym doświadczeniu poety. „Ci, co zginęli w murach Warszawy, ci, co zginęli na Westerplatte. Ci, co polegli na śniegach Narviku... Ci, co topili statki w Tulonie. Ci, którzy padli niegdyś w Madrycie...” — mówi duża litania wiersza „Dzieje”, jedni drugim podobni walczyli o wolność, która jest niepodzielna: „tam, gdzie się grzyzy Stalingradu świeca, tam ocalono, nasz dom”. Oto prawdy historii. Stały się one również własnymi przeżytymi prawdami samego poety.



Adam Ważyk

Nie mamy już szukania dyscypliny. Została odnaleziona. Choć wszystkie emigracyjne wiersze Ważyka mówią o jednym uczuciu, silnym i prostym, choć są w wyrazie tego uczucia jaskrawym przeciwstawieniem dawnych igraszek mózgowa, — wiemy, że ich forma również jest aktem świadomego wyboru. On to na wyrażenie spraw najczulszych podsunął poecie klasyczny motyw pieśni Horacego. To samo dążenie do klasycznej prostoty każe mu później, w „Więźce powojennej”, zamknąć całą dotychczasową twórczość tą oszczędną strofą „Ody dyalektycznej”.

Wróćmy z dion losy wymięją, praca przeocze rysy ich dion, dzieci ich będą dziwić się dziejom i wracającej skokiem harmonii...

W strofie wiersza załknięty został kontur prawdy, dla której nie tylko sam poeta gotów jest walczyć i zginąć; prawdy o świecie, o dziejach ludzkich, porządkowanych niewzruszonymi prawami rozwoju, które wykrywa jedynie ludzki rozum.

Garnków i rajów nie lepią święci lecz ci, o których losy walczyliśmy...

Jest to kontur prawdy o świecie, zdobywanej świadomą walką o ludzki los.

Tej walce poświęcone jest jednak nie tylko „Serce granatu” i powojenna tragiczna „Kronika”. Jej klimat da się odczytać i z tkliwego podziwu „Widokówki z miasta socjalistycznego”, i ze smutnego „Kiosku inwalidów” a nawet z wiosennego wiersza „Do Ireny Tuwima”. Wypełnia ona swą treścią celne, precyzyjne, odmierzone strofy Ważyka. Ani tam, gdzie cechuje je wyszukana rzeźba słowna, ani w utworach, gdzie osiągnięto najwyższą prostotę, ani w dawnej ornamentacyjnej żonglerce słownej ani w wojennym wierszowanym afiszu — nie ma tu nigdzie cienia banału, nie ma luźnego słowa.

Forma powojennych wierszy Ważyka wydaje się bardzo różna od formy jego utworów dawnych, ale lekkomyślnością byłoby twierdzić, że nie powstała dzięki jej doświadczeniom. Nie ma tu już eksperymentów wyobraźni, będących celem samym w sobie, ale niczym innym jak umiejętnym ich zastosowaniem jest plastyka i obrazowanie takich utworów jak „Na śniegu”, „Spojrzenie”, „Nike”, „Kiosk inwalidów”, „Widokówka z miasta socjalistycznego”.

Ja także niegdyś żonglowałem w poszukiwaniu dyscypliny, traciłem lata, słowa, serce — więc żal mój kocha się w żonglerce, w zręczności dziecka i dziewczyny, w opanowaniu doskonałym.

— napisze w „Poemacie sprężonym”, dając obraz dziewczyny w cyrku, tym cyrku prowincjonalnym, o którym pisał chętnie już w „Oczach i ustach”. Ale po tych latach, w których pióro poety, chodziło po papierze jak sejsmograf, aż przysło, po latach podróży w krainę snu i drwiny, do miast, które sławili mistyfikatory — zerwane zostały zaręczyny ze światem igraszk słów. Odnaleziony został kontakt ze światem rzeczywiście, światem ludzkim. Pozostało niewgasające, tkliwe wspomnienie o nim jak wspomnienie o dawnej miłości. Przecież on także stanowił część tego świata rzeczywiście, którego szerszy krąg usiłuje dziś poeta zamknąć w swej lirycznej formie czulego matematyka poetyckiej wyobraźni. Czy nadal będzie mu się to udawać? Czy pełnia świata rzeczywiście formule tej się podda? Pokaże przyszłość. Dotychczas kształt nadany przez poetę latom w których pisał i w których milczał budzi dla kunsztu jego słowa największy podziw.

Ryszard Matuszewski

*) Adam Ważyk „Wiersze wybrane” Sp. Wyd. „Czytelnik” W-wa 1947 — str. 125.

PRZEZ LATA całe nie znalazłbyśmy treści przemówienia, wygłoszonego przez „wielkiego humanitarystę” Herberta Hoovera w lutym roku 1947 w Stuttgarcie podczas jego ostatniej podróży do Niemiec, gdyby nie gadatliwość Herr Josepha Baumgartnera, obecnego ministra rolnictwa Bawarii. Według Herr Baumgartnera ów „dobroczynca ludzkości” (opinia ta o Hooverze jest tak powszechna, że nawet Hjalmar Schacht nazwał w r. 1938 b. prezydenta USA „obrońcą sumienia, humanitaryzmu i porozumienia międzynarodowego”) zakończył swe przemówienie tak: „Walczyliśmy o nowego człowieka, o zachodnią cywilizację przeciwko Azjatów”.

Herr Baumgartner powtórzył słowa Herberta Hoovera swym rodakom w kilka tygodni później, przemawiając publicznie z racji trwającej wówczas konferencji moskiewskiej i stąd dowiedział się o nich świat. Herr Baumgartner dodał:

„Nie powinniśmy martwić się, skoro mamy takich opiekunów. Herr Hoover nie jest byle kim. Widuje on Prezydenta Trumana niemal codziennie. Możemy więc śmiało powiedzieć, że poglądy Hoovera są identyczne z poglądami ludzi, decydujących o obecnej polityce zagranicznej Ameryki”.

Niestety, Herr Baumgartner ocenił całkiem trafnie znaczenie Herr Hoovera w USA, albowiem były prezydent, autor trzech powojennych raportów o sytuacji w Niemczech i w Europie, złożonych Trumanowi w maju 1946, lutym i marcu 1947, ma dość dużo do powiedzenia w Waszyngtonie. Jest tam po pierwsze uważany za najwybitniejszego eksperta do spraw Niemiec; po drugie — jest jedynym żyjącym byłym prezydentem USA; po trzecie — należy do przywódców partii republikańskiej, rządzącej od stycznia na Kapitolu, z czym liczyć się musi każdy polityk amerykański z przeciwniejszej partii.

Całe życie Herberta Hoovera świadczy o tym, że nie rzucił on swych słów na wiatr. Ponieważ jednak spokój współrodaków Herr Baumgartnera nie może być naszym spokojem, warto przyjrzeć się z bliska postaci ich sojusznika i bojownika „zachodniej cywilizacji” przeciw rzekomym Azjatów. Zwróćmy uwagę, że w podobnie brzmiących oświadczeniach i przed identycznym audytorium Adolf Hitler zaliczał zawsze do Azjatów Polaków i innych „słowiańskich podludzi”.



Oficjalne tytuły do sławy Herberta Hoovera to: kierownictwo „misji reliefowej” dla Europy w r. 1919; teka sekretarza handlu USA w latach 1920—1928, prezydentura USA w latach 1928—1932; przywództwo partii republikańskiej po zwycięstwie Roosevelta i pozycja głównego eksperta amerykańskiego od „reliefu” po drugiej wojnie światowej. Zajmowanie tych wysokich i szczytnych stanowisk nie przeszkodziło jednak Herbertowi Hooverowi być także: wynalazcą, po pierwszej wojnie światowej teorii, że żywność jest równie dobrą bronią polityczną jak inne bronie; obrońcą Niemiec wejmarskich i patronem ich odbudowy przez kapitał amerykański między Wersalem i Monachium; entuzjastą „dyplomacji dolarowej” wobec krajów Ameryki Południowej; przeciwnikiem udziału USA w drugiej wojnie światowej i wreszcie najgorętszym rzecznikiem odbudowy Niemiec obecnie. W jego kwiecistym języku cała ta strona jego działalności była „obroną demokracji”, „propagowaniem idei wolnego człowieka”, „walką o amerykański styl życia” i wreszcie jak oświadczył w Stuttgarcie „obroną zachodniej cywilizacji”.

1919

Trzeba było czekać aż dwadzieścia siedem lat, aby na pierwszą międzynarodową akcję Herberta Hoovera, która przyniosła mu tytuł „zbawcy świata”, padło należyte światło. Przez owe dwadzieścia siedem lat nie tylko mieszkańcy Kolonii i Berlina, ale i mieszkańcy Aten, Paryża, Warszawy i Belgradu błogosławili jego nazwisko, wspominając amerykańskie skondensowane mleko, „małpi szmalce” i inne dobrodziejstwa z Oceanu w latach 1919—1920. Dopiero w maju 1946, śmieszny zbiegiem okoliczności w siedem dni po powrocie Herberta Hoovera z drugiej w ciągu pokolenia podróży po świecie w sprawach walki z głodem i nędzą, opublikowano w Waszyngtonie tom tajnych dokumentów z czasów Wersalu. W tomie tym, którego niewiele egzemplarzy dotarło prawdopodobnie do Europy, znajdują się sprawozdania z wystąpień Herberta Hoovera przed Radą Pięciu w Paryżu w lecie 1919. Żądał on wówczas i przeprowadził blokadę żywnościową rewolucyjnych Węgier, a po ich zlikwidowaniu przez admirała Hortyiego, dziś na pół więźnia na pół gościa Amerykanów w Ba-

MIECZYSLAW WIONCZEK

„OBROŃCA” CYWILI

(ŻYWOT HERBE

warii, równie gorąco zalecał użycie amerykańskiej żywności dla podtrzymania tego reżimu. Wątpliwym zwraca się uwagę na depeszę New York Timesa z Waszyngtonu 18 maja 1946, która pod tytułem: „Dokumenty z r. 1919 wskazują na związki między polityką i żywnością” doniosła, że „ukazał się właśnie tom dokumentów, wykazujący jak po pierwszej wojnie światowej użycie żywności dla podtrzymania niekomunistycznego reżimu na Węgrzech...”



Nikt do niedawna nie mógł wiedzieć o tym fragmencie kariery Herberta Hoovera. Ale na pewno wiadano, choć nie pamięta się dzisiaj o tym, że równocześnie z figlami węgierskimi, Herbert Hoover pisał do Wilsona w memorandum pod tytułem „Dlaczego musimy żywić Niemcy”. „Patrząc na tę sprawę z punktu widzenia zarządcy Niemiec, powiedziałbym, że należy żywić Niemcy należycie, gdyż głód rodzi anarchię, anarchia jest zaraźliwa i może przez Francję i Anglię dotrzeć do nas. Patrząc z punktu widzenia amerykańskiego ministra skarbu, powiedziałbym, że należy żywić Niemcy należycie, gdyż przynosi to czysty zysk: oszczędzi nam olbrzymich kosztów na utrzymywanie w Europie armii okupacyjnej, która będzie mogła powrócić do USA i wziąć się do pożytecznej pracy...”

Raport ów nosi datę 21 marca 1919 r. Raporty z r. 1946-47 dowodzą, że poglądy Mr. Hoovera na problem niemiecki nie zmieniły się ani o odrobinę w ciągu ostatnich 25 lat. Tak się złożyło, że identyczne poglądy na te sprawy miał wówczas i ma dzisiaj także Hjalmar Schacht, cudem uratowany przez bliżej niezidentyfikowanych sprawców od szubienicy norymberskiej.

1928

Kiedy Herbert Hoover objął z ramienia zwyczajnej partii republikańskiej w styczniu 1921 tekę sekretarza skarbu USA był już osobistością znaną w całym świecie. Masy czcili go za akcję charytatywną, rządy europejskie ceniły za porady ekonomiczne, techniczne i finansowe bezpośrednio po zakończeniu wojny. Dzięki owym radom rzeczywistość uchroniono Europę od „anarchii”, zapominając spowodu nawalu zajęć o mniej ważnych sprawach: likwidacji sztabu niemieckiego czy uczciwej demilitaryzacji Niemiec.

Nowy sekretarz handlu USA przyjął w swej polityce zagranicznej starą zasadę, że prywatny businessman amerykański podobnie jak amerykański statek jest częścią USA i że obowiązkiem rządu, a zwłaszcza sekretarza handlu jest bronić jego interesów zagranicą. Niemcom wciąż groziła „czerwona zaraza” i „anarchia”, businessmeni amerykańscy pamiętali dobre interesy z „solidnym” narodem niemieckim z czasów cesarstwa, więc sekretarz handlu patronował jak najgoręcej stosunkom gospodarczym między dwoma krajami. Patronował tak gorąco, że w r. 1926, w szóstym roku jego pobytu w departamencie handlu USA, inwestycje amerykańskie w Niemczech wynosiły około miliona dolarów. Równocześnie też Niemcy stawały się z dnia na dzień odporniejsze na „czerwoną infekcję”, co widać było z raportów przyjaźni Herberta Hoovera, podróżujących między Berlinem i New Yorkiem.



Stan zdrowia Niemiec poprawiał się tak szybko, że pod koniec 1925 r. przestała im odpowiadać bierna rola w błogosławionych przez Herberta Hoovera związkach. W tym roku właśnie. Bayer Gesellschaft, Badische Anilin und Soda-Fabrik i inne znaczne filary niemieckiego przemysłu chemicznego z czasów Kaiserza, połączyły się w I.G. Farben Industrie. I. G. Farben zaś — jak wiadomo z aktu oskarżenia ogłoszonego 3 maja roku 1947 w Norymberdze — był w czternaste lat po powstaniu nie tylko jedynym dostawcą syntetycznej nafty i kauczuku dla niemieckiej maszyny wojennej, ale także współwłaścicielem czterystu wielkich kompanii przemysłowych w osiemnastu krajach. Blisko połowa tych korporacji mieściła się przypadkiem w USA, przy czym wszystkie główne kontrakty i porozumienia zawarte zostały przypadkiem za ministerstwa i prezydentury Herberta Hoovera.

„Wielki humanitarysta” nie ukrywał swych poglądów na ten temat. W maju 1929 wypowiedział je jego bliski współpra-

cownik i przyjaciel Bill Donovan (szef amerykańskiego wywiadu wojskowego w czasie drugiej wojny światowej): „Jeśli USA mogą budować fabryki we Francji i Niemczech dla produkcji amerykańskich samochodów i maszyn, Niemcy mają podobne prawo do budowy chemicznych fabryk w USA”. O istocie zaś filozofii Herberta Hoovera i jego otoczenia mówi oświadczenie jego przedstawiciela w ambasadzie USA w Berlinie Williama Daugherty z r. 1927: „Kartel przemysłowy, będąc umową między producentami o różnych kosztach produkcji, osłania w ten sposób słabych przed silnymi i wychodzi wszystkim na dobre”.

Herbert Hoover jako obrońca słabych i ucieszonych nie mógł mieć przeto nic w ciągu dwunastu lat rządów w Waszyngtonie przeciwko międzynarodowemu kartelowi. Cóż dziwnego też, że człowiek, którego ideałem były zawsze „międzynarodowe porozumienie wolnych ludzi” i „walka z anarchią” doprowadził do tego, że penetracja niemiecka w przemyśle amerykańskim i amerykańska w przemyśle niemieckim doszła do takich rozmiarów, że w historii gospodarczej USA, okres hooverowski określa się mianem ery kompletnego ignorowania ustaw antytrustowych.

Pojemność serca Herberta Hoovera nie była jednak nieograniczona. Podobnie jak w r. 1919 nie był on w stanie przejąć się głodem węgierskich chłopów, tak w roku 1932 okazał się całkiem niewrażliwy na nędzę narodu filipińskiego.

Nie starczało Herbertowi Hooverowi gorącego serca także dla własnych obywateli. Kiedy w lipcu 1932, podczas kampanii wyborczej znaczna grupa obdarych i głodnych weteranów przybyła pieszo do Waszyngtonu, aby domagać się w Kongresie ustawodawstwa społecznego, H. Hoover użył policji do rozpędzania demonstrantów. W jedynych, poza wojną z Anglikami w r. 1812, walkach na ulicach Waszyngtonu połała się krew, a policja spaliła namioty weteranów. Prezydent oświadczył, że sprzeciwić się będzie wszelkiej pomocy państwowej dla bezrobotnych, gdyż „pomoc dla bezrobotnych i ubogich jest obowiązkiem samorządu i organizacji dobroczynnych”. „Moje stanowisko — tłumaczył — jest niezbędne dla utrzymania amerykańskiego systemu indywidualnej inicjatywy i poczucia odpowiedzialności społeczeństwa wobec jednostki”.

W dniu mowy prezydenckiej urząd statystyczny departamentu pracy USA notował dziewięć milionów bezrobotnych, skazanych według słów prezydenta na „pomoc prywatnych instytucji charytatywnych”. W tym samym czasie przedstawiciel I. G. Farben, odżywniejszy niż gorzej nie bez pomocy Herberta Hoovera, prowadził pod Kolonią w Niemczech wstępne rozmowy z Adolfem Hitlerem, przygotowującym się powoli do „walki o nowy porządek świata”.

1938

Jest mało ważne, co robił Herbert Hoover w latach 1932—38, były to bowiem czasy, w których postać Franklina D. Roosevelta przesłaniała wszystko. Ale warto zwrócić uwagę na pewne wystąpienia byłego prezydenta USA w przededniu ostatniej wojny.

„Wielki humanitarysta” ciekaw był bardzo, co dzieje się na terenie pewnego kraju w Europie, wybawionego przezeń swego czasu od niebezpieczeństwa „anarchii”. Udał się więc do tego kraju i w marcu roku 1938 na kilka dni przed Anshlussem prasa amerykańska przyniosła wiadomość o pobycie Herberta Hoovera w Berlinie. Treść depeszy New York Timesa była raczej nieoczekiwana: „Podczas spotkania z Hitlerem Herbert Hoover zaatakował faszyzm”. Korespondent dziennika twierdził na podstawie relacji obecnych przy spotkaniu obu osobistości, że b. prezydent USA oświadczył w kancelarii Fuehrera, że „doktryna hitlerowska nie jest do wprowadzenia w życie w Ameryce”. Depesza dodawała, że rozmowa dotyczyła jednak głównie zagadnień gospodarczych obu krajów i że o jej szczegółach Hoover nie zamierza informować prasy. Tyle doniesiono z Berlina rano 9 marca 1938 roku. Prasa popołudniowa przyniosła inną depeszę: „Sekretarz prezydenta, Mr. Paul Smith oświadczył, że pogłoska, która dotarła do prasy, jakoby Herbert Hoover potępił faszyzm, nie odpowiada prawdzie. Sekretarz oświadczył, że być może Mr. Hoover wypowiedział na przyjęciu u Fuehrera swe opinie na temat liberalizmu, ale nie znaczy to w żadnym wypadku, że potępił faszyzm”. Nazajutrz drukowano w prasie USA następującą depeszę: „Mr. Hoover podejmowany był wie-

czorem 8 marca przez Hjalmar Schachta i innych przedstawicieli życia gospodarczego Niemiec. Schacht nazwał b. prezydenta USA „obrońcą sumienia, humanitaryzmu i porozumienia międzynarodowego”. Sam „obrońca sumienia” oświadczył prasie, że stwierdził, że „Niemcy mimo wielkich trudności zrobiły więcej dla swych obywateli w zakresie zdrowia publicznego od Ameryki”.

Po czym Herbert Hoover powrócił do ojczyzny, żegnany entuzjastycznie na granicy niemiecko-francuskiej przez tłumy Niemców, pamiętających mu moratorium długów i reparacji w r. 1931. Wśród przedstawicieli władz żegnających dostojnika był także Herr Kapitan Fritz Wiedemann, ci-cerone Hoovera podczas jego podróży po Niemczech. Herr Wiedemann w rok później przybył do USA na stanowisko konsula generalnego w San Francisco i okazało się po kilku miesiącach, że jest szefem wywiadu hitlerowskiego na Północną Amerykę.

Niestety brak jest szczegółowego sprawozdania z rozmowy Hoovera z Hitlerem. Depesze i komentarze z owych czasów stwierdzają krótko, że poruszano także sprawy „ewentualnej wojny”. Natomiast o poglądach Mr. Hoovera na sprawę wojny i pokoju dowiedzieć się można z jego — wydanej anonimowo w r. 1939 — książki pod tytułem: „Czy mamy znowu posłać naszą młodzież na wojnę?”.

Książka ta, której autorstwo ujawnił jeden z dzienników niemiecko-amerykańskich, obfitowała w tak wzruszające fragmenty jak ten oto: „Wśród błysków chwali i legend zapominamy o nędzy wojny i śmierci w okopach. Zapominamy o smutku i tragedii naszych matek, żon i dzieci. Być może, że trzeba będzie pewnego dnia pójść na wojnę. Ale może to być jedynie wojna na naszej półkuli, wojna w bezpośredniej obronie naszego kraju i naszego honoru. Powinniśmy obstawać przy tym, aby podstawa stosunków międzynarodowych była nie siła ale prawo i porozumienie. Najbardziej też potrzeba dzisiaj oświadczenia kół odpowiedzialnych za los USA, że nie pójdziemy na wojnę nigdzie i przeciw nikomu, o ile nie zostaniemy zaatakowani na za-



chodniej półkuli. Albowiem byłoby zbrodnią wysyłanie naszej młodzieży do Europy...”

Owa przejmująca odezwa do narodu amerykańskiego wzbudziła największy entuzjazm w prasie niemiecko-amerykańskiej. Biuletyn Niemiecko-Amerykańskiej Izby Handlowej w New Yorku, której prezesem był Rudolf Ilgner, prezydent wielkiej kompanii chemicznej w USA — Chemnyc, Inc., przypadkiem brat Maxa Ilgnera, jednej z czołowych postaci IG Farben, wzywał swych członków i czytelników do jak najszybszego propagowania książki jako wyrazu „prawdziwie humanitarnych idei amerykańskich”.

W tym samym czasie, kiedy czytelnicy dzieła Herberta Hoovera ulegali sile jego argumentacji, jechał właśnie do USA z Niemiec Herr Silvester Viereck z misją organizowania opinii publicznej przeciwko udziałowi Ameryki w drugiej wojnie światowej. Czołowe miejsce na jego liście osób, na które można było liczyć, zajmowało nazwisko Herberta Hoovera. Na ujawnienie tego faktu czekał trzeba było nieco krócej, niż na ujawnienie węgierskich postępów Hoovera z r. 1919, ale człowiek, który opublikował listę Herr Vierecka w październiku 1946, John Rogge, zastępca prokuratora generalnego USA, został wydalony z departamentu sprawiedliwości USA w dwa dni po publicznym wymienieniu nazwiska Hoovera w połączeniu z nazwiskiem Vierecka. Herr Viereck bowiem wciąż jeszcze odsiadywał wówczas karę więzienia, ułokowany w nim jeszcze za życia Franklina Roosevelta, kiedy Herbert Hoover znaczny znacznie mniej niż w r. 1946.

1945

W czasie drugiej wojny światowej okazało się raz jeszcze, że pojemność serca wielkiego humanitarysty i bojownika „amerykańskich ideałów” jest ściśle ograniczona. Serce to nie objęło ani cywilnych ofiar nalołów niemieckich na szosy polskie w jesieni 1939 roku, ani ofiar nalołów na szosach francuskich w roku 1940, ani ofiar blitzu w Coventry, Londynie i Plymouth. Nie objęło ono także ofiar Dachau, Oświęcimia, Lidic i Belsen-Bergen, nie mówiąc o ofiarach rzezi w Kijowie, Charkowie i Odesie. Przez ten czas Herbert Hoover milczał, nie on jeden zresztą. Protesty Herberta Hoovera rozpoczęły się dopiero w kwietniu 1945 po upadku Berlina.

ZACJI ZACHODNIEJ

(RTA HOOVERA)

W ciągu jednego tylko roku zdążył on protestować pięciokrotnie. 10 kwietnia roku 1945 w Filadelfii przeciw przyjętej w Jalcie zasadzie jednomyślności wielkich mocarstw w Organizacji Narodów Zjednoczonych; 18 lipca 1945 w New Yorku przeciwko „imperialistycznym metodom Związku Radzieckiego w Europie i Azji, które mogą skończyć się klęską Ameryki i jej ideałów”; 11 sierpnia w Long Beach w Kalifornii — przeciwko „socjalizmowi i komu-



nizmowi, które zalewają Europę i rozpoczęły atak na Azję, niszczyć wolność wielu narodów”; 27 września w New Yorku, przeciwko międzynarodowej kontroli energii atomowej; wreszcie 13 października w Chambersburg w Pensylwanii przeciwko „ostremu traktowaniu Niemców i Japończyków przez zwycięzców”.

Mr. Hoover nie tylko protestował, ale przedstawiał pozytywne propozycje. W Kalifornii wzywał naród amerykański do proklamowania wiary „w amerykańskie ideały” i do walki „w obronie wolnych ludów świata”. W Chambersburg żądał w słowach, przypominających jego popisy krasomówcze z czasów prezydentury — „walki o sprawiedliwy pokój i przywrócenie sprawiedliwości na całym świecie”. Mowa chambersburska jest tak charakterystyczna dla filozofii przyjaciela „wolnych ludzi”, że warto ją zacytować. Z okazji 75-lecia uniwersytetu im. Wilsona Hoover oświadczył zebranym: „Świata należy się sprawiedliwy pokój. Ale nie będzie pokoju i nie będzie sprawiedliwości, jeśli zwycięzcy kierować się będą uczuciem zemsty wobec zwyciężonych. Surowe traktowanie Niemców i Japończyków nie może sprowadzić na świat owego oczekiwanego, prawdziwego i trwałego pokoju. Jeśli uczynimy z pokonanych narody rolnicze, wzbudzimy w nich uczucie głębokiej nienawiści do nas i do całego świata. Wojna zadała straszne ciosy międzynarodowej moralności. Świat toleruje dzisiaj zamykanie tysięcy ludzi w obozach koncentracyjnych i zmuszanie ich do przypominających czasy rzymskich niewolników pracy pod pozorem reparacji dla zwycięzców. Pamiętajcie, że prześladowanie rodzi nienawiść, a nie można oczekiwać od nienawiści, aby stała się podstawą pokoju. Nadszedł dzień, kiedy musimy zdać sobie z tego sprawę i musimy podjąć walkę z wszelkimi objawami zemsty i barbarzyństwa...”. Przez owe objawy Herbert Hoover rozumiał wszystkie główne punkty Poczdamu.

1946

W marcu 1946 były prezydent USA powrócił do swej specjalności, dając się wybrać honorowym przewodniczącym komitetu „Pogotowia do walki z głodem”. W tym samym miesiącu na prośbę prezydenta Trumana wyruszył w podróż naokoło świata w celu „zbadań sytuacji żywnościowej w Europie i Azji”. Był witany entuzjastycznie w Paryżu, Londynie, Brukseli, Rzymie, Warszawie, Atenach, Kairze i New Delhi. Konferował z papieżem, prezydentami, premierami, generałami. Któżby pamiętał „wielkiego humanitarystę” jego amerykańskiego niemieckiego rozdział żywota. Niektóre jednak z jego publicznych wystąpień w czasie marcowej podróży wskazywały, że nie wszystko jest w porządku z



jego humanitarnymi hasłami. Tak na przykład przyznając, że miliony ludzi w Europie stoją w obliczu śmierci głodowej, Herbert Hoover opowiedział się w wywiadzie dla prasy amerykańskiej przeciwko wprowadzeniu jakiegokolwiek racjonowania żywności w USA. Jednego dnia stwierdził, że dwa i pół miliona dzieci w Polsce chronicznie nie dojadają, gdy nagle przestają je Brytyjczycy za propozycje racjonowania chleba na całym świecie dla zaoszczędzenia zboża dla głodujących krajów. W Kairze oświadczył też publicznie, że jest to niezgodne z zasadą „wolnej inicjatywy gospodarczej i z wszystkimi innymi wolnościami”. Sprawiedliwi odpowiedzieli. Zatakował „wielkiego humanitarystę” Herbert Lehmann, dyrektor generalny UNRRA, za zbyt optymistyczną ocenę kryzysu żywnościowego na całym świecie. Zatakowała go wielka postępową organizacja amerykańska „Komitet walki o pokój”, żądając odwołania go przez Białą Dom z podróży i przypominając Ameryce konszachty niemieckie Hoovera między Wejma-

rem i Monachium. Hugh de Lacy, członek Kongresu USA, postępowy działacz robotniczy ze stanu Waszyngton, oświadczył wręcz 1 maja 1946 podczas pobytu Hoovera w Chinach, że „Hooverowie i Churchillowie, brytyjscy imperialiści i amerykańscy monopolisci czynią desperackie wysiłki dla nawiązania nowego światowego spisku przeciwko socjalizmowi według wzorów z r. 1919”. Te wszystkie ataki na Herberta Hoovera okazały się wkrótce całkowicie usprawiedliwione.

Powróciwszy przez Pacyfik do USA 20 maja 1946 Herbert Hoover stanął jako ekspert przed Światową Konferencją Żywnościowo-Rolniczą, obradującą właśnie w Waszyngtonie. Wszyscy pamiętali jego niedawne oświadczenia o klęsce głodu w Europie i Azji, ale gdzieś w drodze z Aten do San Francisco, były prezydent USA musiał zgubić swoje notatki, bądź zapomniał po prostu, o tym co widział. Oświadczył bowiem w Waszyngtonie, co następuje: „Ostry kryzys żywnościowy na całym świecie minie najprawdopodobniej we wrześniu tego roku. Nie ma żadnych rozsądnych podstaw, aby w przyszłości rozdziałać żywność na zasadzie dobroczynności. Na jesieni UNRRA nie będzie już potrzebna. Należy zastąpić ją nową międzynarodową organizacją, która zajmie się normalnym handlem żywnością. Pomoc bezpłatną dawać będzie można jeszcze poszczególnym krajom, w wyjątkowych wypadkach, jeśli uzna się tę pomoc za wskazaną i niezbędną”.

Mr. Hoover nie określił dokładnie, jakie wyjątkowe wypadki miał na myśli i do kogo należeć będzie decyzyja, czy pomoc jest wskazana i niezbędna. Ludzie, znający przeszłość Herberta Hoovera, zdawali sobie sprawę ze znaczenia jego słów. Herbert Hoover przemawiał w r. 1946 oględniej niż przed Radą Pięciu w r. 1919, ponieważ tym razem na sali obrad w Waszyngtonie znajdowało się kilkunastu dziennikarzy.

Fiorello La Guardia, następca Herberta Lehmana na stanowisku dyrektora generalnego UNRRA, jedna z najpiękniejszych postaci współczesnej Ameryki, był przerażony. Dla niego, doświadczonego amerykańskiego polityka słowa „wielkiego humanitarysty” znaczyły bowiem po prostu: „Koniec z uczciwą międzynarodową akcją UNRRA, zorganizowaną na życzenie Roosevelta w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nadszedł czas na rozdział pomocy według potrzeb sytych, a nie według potrzeb głodnych”. Ale wszystkie wściekle ataki La Guardii na Hoovera nie wiele mogły zmienić. Herbert Hoover był już w siodle, 25 maja 1946 wyruszył na życzenie Trumana w nową podróż w sprawach reliefowych, tym razem do Ameryki Południowej. Powrócił z niej w doskonałym nastroju, mimo, że według jego własnych obliczeń w Paryżu przed trzema miesiącami Europa i Daleki Wschód potrzebowały jedenaście milionów ton zboża. „Kryzys żywnościowy minie w sierpniu — oświadczył autorytatywnie — UNRRA nie będzie więcej potrzebna”.

Jego ostatnie wystąpienie w roku 1946 wypadło na dzień 6 listopada. Naza jutrz po zwycięstwie republikanów w wyborach do Kongresu USA, pierwszym w ciągu piętnastu lat, oświadczył: „Zbliżyliśmy się znowu do celu dążeń wolnych ludzi”. Tydzień przed tym John Rogge, zastępca prokuratora generalnego USA, stracił swe stanowisko za publiczne oświadczenie, że nazwisko Herberta Hoovera znajdowało się na pierwszym miejscu listy Silvestra Vierecka, agenta hitlerowskiego, listy osób na które liczył Berlin w lecie 1939 roku.

1947

W styczniu bieżącego roku Herbert Hoover był już nie tylko byłym prezydentem USA i najwybitniejszym ekspertem od spraw światowego „reliefu”, ale był także jednym z liderów współpracującej w Waszyngtonie partii. Ze wzrostem znaczenia takich przywódców republikańskich jak Vandenberg, obecnie przewodniczącą Senatu i senackiej komisji spraw zagranicznych czy jak John Foster Dulles z firmy prawniczej Cromwell and Sullivan z Wall Street, doradca polityczny najpoważniejszego republikańskiego kandydata do Białego Domu w r. 1948 Thomasa Deweya, wzrosło i znaczenie Herberta Hoovera.

Tak się złożyło, że wieści, które na przełomie roku zaczęły napływać z Berlina do Waszyngtonu, coraz bardziej przypominały raporty amerykańskie z r. 1919. Wyczytać w nich było można, jeśli miało się dostęp do Departamentu Wojny i Stanu USA, że Niemcy znowu znajdują się na krawędzi przepaści, że są z dnia na dzień coraz mniej

odporne na „niebezpieczeństwo czerwonej infekcji”, że trzeba znaleźć środki zapobiegające zbliżającemu się kryzysowi, bo inaczej...

Autorami tych raportów byli ludzie z Berlina i Frankfurtu, ludzie z otoczenia generałów Mc. Narneya i Claya, przypadkiem jakimś znajomi i współpracownicy od lat albo „wielkiego humanitarysty”, albo bliższych mu polityków amerykańskich. 22 stycznia 1947 Herbert Hoover odwiedził Białą Dom. Ogłoszony naza jutrz oficjalny komunikat był bardzo zwięzły, stwierdzając, że „Prezydent Truman zaproponował b. prezydentowi podróż do Niemiec w celu zbadań ich sytuacji żywnościowej oraz związanych z tym problemów”. Komunikat dodawał, że Herbert Hoover przyjął prośbę Prezydenta, oświadczać — jako że misje jego zawsze były prawie charytatywnymi — że „uda się do Niemiec, aby zdjąć z ramion obywateli amerykańskich przygniatających ich koszt utrzymania okupowanego kraju”.

Relacje z podróży Hoovera do Niemiec i zachodniej Europy były nad wyraz skąpe. Raz jedynie — 15 lutego czytelnicy prasy amerykańskiej dowiedzieli się, że były Prezydent odbył w Rzymie konferencję z Papieżem po uprzednich rozmowach z przedstawicielami amerykańskiego i brytyjskiego zarządu wojskowego w Berlinie, Frankfurtu i Wiedniu. O wspomnianym na wstępie spotkaniu z Herr Baumgartnerem i jego rodakami w Stuttgarcie nie doniesiono ani słowa. W ciągu trzech tygodni jego pobytu w Niemczech, korespondenci amerykańscy zajmowali się wszystkim tylko nie jego osobą. Bomba wybuchła, kiedy sędziwy podróżnik znajdował się już w drodze z Berlina do USA. W korespondencji z Berlina pióra Josepha Evansa „Wall Street Journal” donosił, że „największe sensacje, jakie Hoover wyjmie z swej teki w Waszyngtonie nie będą wcale dotyczyły problemu żywnościowego w Niemczech”.

„Mr. Hoover — pisał szef berlińskiego biura organu giełdy nowojorskiej — doszedł do wniosku, że już czas, aby uczynić



z Niemiec samodzielny organizm gospodarczy i przekonał się, że zbyt wielki kładzie się w zachodnich Niemczech nacisk na akcję denazifikacyjną... Mr. Hoover przygotowuje obszerny raport o wszystkich problemach współczesnych Niemiec i jeśli jego zalecenia zostaną przyjęte w Waszyngtonie i zrealizowane, będzie to oznaczało rezygnację USA z zasady odpowiedzialności Niemiec za wojnę i z ograniczeń Niemiec, przyjętych za podstawę Jalty i Poczdamu... Można oczekiwać, że Mr. Hoover zażąda zniesienia wszelkich ograniczeń, hamujących zagraniczny handel pokonanych Niemiec, a więc także zniesienia zakazu stosunków handlowych między kupcami amerykańskimi i niemieckimi, ograniczeń w poruszaniu się niemieckich kupców i przemysłowców zagranicą i zagranicznych businessmenów w Niemczech... Hoover nalegać będzie także na zmianę stosunku USA do problemu denazifikacji, albowiem — jasne jest — że Niemcy nigdy nie staną się samowystarczalnym organizmem gospodarczym, jeśli nie wykorzystają się dla tego celu wszystkich talentów kierowniczych w przemyśle tego kraju”.

Joseph Evans z „Wall Street Journal” poinformowany był o pomysłach Herberta Hoovera lepiej od wszystkich swych berlińskich kolegów. Ogłoszony w osiem dni później w Waszyngtonie raport „wielkiego humanitarysty” potwierdzał depesze Evansa całkowicie. Tyle tylko, że przewodnie myśli Hoovera przyprawione w nim zostały sentymentalno-humanitarną frazeologią.

Raport dla Białego Domu zawierał takie zastanawiające i wzruszające zdania: „90 tysięcy hitlerowców w obozach koncentracyjnych i milion dziesięć tysięcy Niemców, którzy na skutek sankcji wykonywać mogą jedynie pracę fizyczną, zwiększają jeszcze trudności administracyjne i przemysłowe kraju”. Bądź też: „Kiedy sytuacja żywnościowa Anglii, Belgii, Francji, Holandii i Italii powróciła do poziomu przedwojennego”. Albo: „Sytuacja mieszkaniowa w obu strefach Niemiec jest gorsza od widzianej kiedykolwiek przez cywilizację zachodnią”. Czy chociażby: „Władze okupacyjne robią co mogą, ale eksport z Niemiec jest utrudniony ustawami, zakazującymi aliantom handlu z nieprzyjaciółmi i przeszkodami, napotykanymi przez zagranicznych kupców, szukających dróg porozumienia z niemieckimi producentami”. Tak jakby odpisywał ze słych raportów z

r. 1919, „wielki humanitarysta” zaczął raport od stwierdzenia, że w dniu zakończenia wojny Niemcy stały w obliczu anarchii i chaosu i kończył przemijającym apelem: „Jeśli cywilizacja zachodnia ma ocaleć w Europie, musi ocaleć w Niemczech. Nasza flaga powiewa nad narodem niemieckim. Flaga ta musi być czymś więcej niż symbolem siły i władzy wojskowej”.

Oświadczenie, jakie Herbert Hoover złożył w dwa dni po opublikowaniu przez Białą Dom raportu o Niemczech przed komisją spraw zagranicznych Izby Reprezentantów nie mogło zdziwić nikogo, mimo, że było majstersztykiem przeinaczania sensu umów międzynarodowych. Kongres chciał wysłuchać bowiem opinii Mr. Hoovera na temat przygotowywanej — po zlikwidowanej przy ożywionej współpracy Hoovera UNRRA — ustawy o reliefie dla Europy. Mr. Hoover oświadczył: „Pomoc dla innych krajów nie powinna być większa od pomocy, jaką proponowałem ostatnio dla Niemiec i Austrii”. Nikt z obecnych nie zaglądał do tekstu umowy poczdamskiej. Umowa ta, podpisana także przez Harry Trumana, głosiła: „Ludność pokonanych Niemiec nie będzie miała wyższego standardu życiowego od ludności zniszczonych przez Niemcy krajów”. Któżby zwracał uwagę na taki drobny retusz, że z Niemiec a nie z ich ofiar uczyniono miarę pomocy Europie.

Kiedy Herbert Hoover recytował przed komisją Izby listę warunków, jakie postawić należy krajom potrzebującym żywności, padło jedno kłopotliwe pytanie. Ktoś myślicy prosto dusznie zauważył: „Czy szanowny świadek chce powiedzieć, że jest za powstrzymaniem pomocy i pozwole umierać niewinnym kobietom i dzieciom z głodu, jeśli któryś z rządów nadużyje żywności dla swych celów?”. Mr. Hoover nie był wcale znniesany: „Nie pragnę wcale głodowej śmierci kobiet i dzieci, ale cierpliwość i humanitaryzm także mają swoje granice”. I żeby tego dowiedzieć, ciągnął dalej: „Powinniśmy jak najszybciej zakończyć państwową pomoc zniszczonym wojną krajom i zachęcić prywatne instytucje charytatywne do przejęcia tego ciężaru”. Piętnaście lat wcześniej, ówczesny Prezydent USA proponował zupełnie to samo głodnym i obdartym weteranom amerykańskim, maszerującym w rozpacz na Waszyngton.

Ostatni raport Herberta Hoovera na temat Niemiec, ogłoszony 23 marca 1947 roku, postawił wszystkie brakujące kropki nad i i może być bardzo wdzięcznym polem poszukiwań za efektywną pointą artykułu o „wielkim humanitarystę”. Spośród kilkunastu tysięcy słów i kilkunastu zdań raportu można wybrać dowolnie cytaty, które potrafiłyby zjechać włosy na głowie każdej z dwudziestu sześciu milionów ofiar drugiej wojny światowej, gdyby można było przywracać życie ludziom. Rekord pobito jednak prawdopodobnie zdanie następujące: „Dla dopólnowania, aby Niemcy nie produkowali broni i nie gromadzili materiałów do jej produkcji, wystarczy komisja kontrolna, złożona z kilkudziesięciu inteligentnych ludzi”. Zdanie to zamknęło najnowszy program hooverowski, domagający się zniesienia wszelkich ograniczeń przemysłu niemieckiego, powstrzymania demontażu ciężkiego przemysłu, oddania zarządu przemysłu w ręce niemieckie i powrotu Rury i Nadrenii pod kontrolę samych Niemców.

Trudno znaleźć lepszy i szybszy sposób natychmiastowego zdjecia z bark obywateli Ameryki ciężaru okupacji Niemiec. Jest to jednak równocześnie jedyna i najlepsza recepta na wszystkie troski i ciężary, spoczywające na barkach całej Europy. Wprowadzona w życie pozwoli w niedalekiej przyszłości zdjąć je z tych bark wraz z ciężarem życia na naszej planecie włącznie. Plany Herberta Hoovera prowadzą do tego z matematyczną dokładnością. Jest atoli jedna poprawka do wprowadzenia. Pomysł Herberta Hoovera mogą być realizowane tylko przy zgodzie Europy. Ta wydaje się mało prawdopodobna w świetle nie tyle mądrości polityków i dyplomatów, ile w świetle wojennych doświadczeń europejskich mas. Ich zachowanie i reakcja na propozycje „wielkiego humanitarysty” wykażą dowodnie czy istnieje coś takiego jak europejska solidarność i europejska wspólnota. Wierzyć trzeba, że reakcja będzie taka, jakiej oczekiwać należy.

Do samego „wielkiego humanitarysty” nie sposób mieć pretensji. Nie jest ani gigantycznym Landru ani dr. Petiot, przygotowującym świadomie zgubę milionom. Herbert Hoover walczył przez całe życie o swą koncepcję świata przeciw „anarchii i chaosowi socjalizmu”. Dzisiaj po drugiej wojnie światowej, która nie przebiegała po jego myśli, szuka znowu sprzymierzeńców, tak jak szukał ich i znajdował w r. 1919. Może nawet brzydzi się tymi sprzymierzeńcami po Buchenwaldach i Oświęcimach, ale nie ma to żadnego wpływu na jego wybór, skoro nie ma żadnego wyboru dla obozu Herberta Hoovera. Taka bowiem jest logika dziejów.

Mieczysław Wionczek

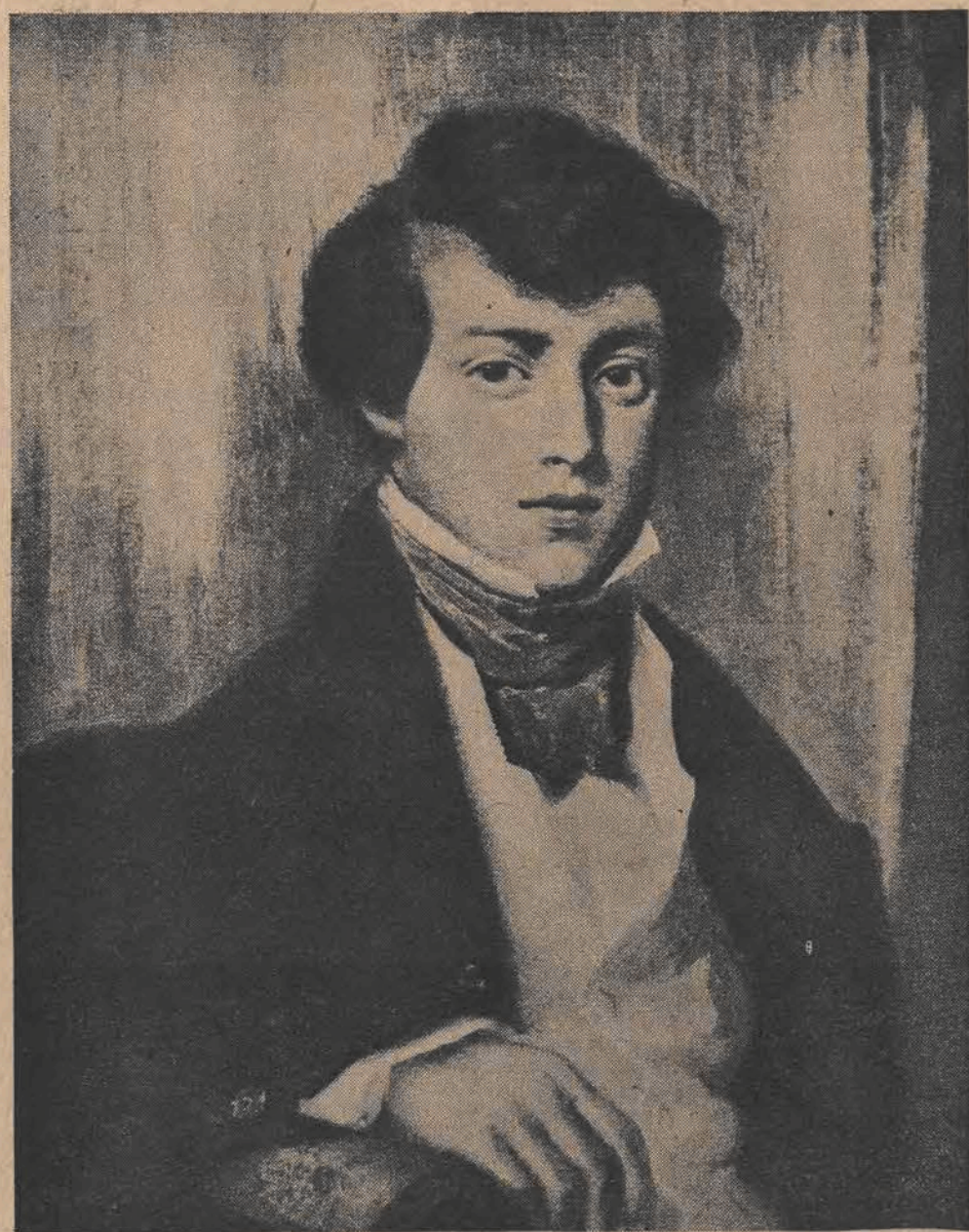
MALARSTWO EUGENIUSZA DELACROIX *)



Delacroix

Portret George Sand

olej



Delacroix

Portret Młodzieńca

olej



Delacroix

Medea

olej



Delacroix

Głowa starej kobiety (szkic)

akwarela

*) Ilustracje do „Pamiętników” na str. 1.

ALEKSANDER LITWIN

O t. zw. angielskiej drodze do socjalizmu

PUBLICYSTYKA polska, szczególnie socjalistyczna, w ślad za zagraniczną, coraz więcej miejsca poświęca zagadnieniom t.zw. „angielskiej drogi do socjalizmu”.

Jeszcze w styczniowym numerze „Przeglądu Socjalistycznego” poświęcił temu obszerne uwagi tow. Jan Topiński. W 32 i 36 numerze tygodnika socjalistycznego „Świat i Polska” omawia to zagadnienie tow. Jan Rosner. Ostatnio sprawie „labourystowskiej drogi do socjalizmu” poświęcił obszerny artykuł tow. Witold Wudel na łamach „Lewego Toru”. O sprawie tej pisali niejednokrotnie i inni członkowie PPS.

Nie można w chwili obecnej uznać już tej dyskusji jedynie za wymianę zdań w łonie PPS, a to z wielu względów; niektórzy z wymienionych towarzyszy porównują „angielską” drogę do socjalizmu z naszą, polską drogą; inni po prostu zalecają ją nam, jako panaceum na wszelkie dolegliwości; niektórzy zaś, w ślad za angielskimi twórcami tych koncepcji, podnoszą ją jako oręż walki przeciwko marksistowskim koncepcjom dróg budownictwa bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego.

Dyskusja ta zrodziła wiele nieporozumień, nawet wśród osób które krytycznie ustosunkowują się do labourystowskiego reformizmu. Świadczy o tym chociażby wymieniony wyżej artykuł tow. Wudla na łamach „Lewego Toru”. Echa tej dyskusji słyszemy niejednokrotnie na łamach prasy społeczno-literackiej; wywołują one często nieporozumienia także w szeregach innych stronnictw.

Te względy zobowiązują do zabrania głosu i poczynienia niektórych uwag na marginesie toczącej się wymiany myśli, a szczególnie na marginesie artykułu tow. Wudla. Sądzę, iż jasne i otwarte omówienie niektórych, poruszonych w dyskusji, zagadnień, usunie wiele nieporozumień ideologicznego charakteru, rozwine dyskusję zasadniczą i przyczyni się do dalszego zbliżenia obu partii robotniczych.

LABOURYSTOWSKA DROGA DO SOCJALIZMU

Witold Wudel widzi trzy zasadnicze drogi do socjalizmu: **radziecką, ludowo-demokratyczną i labourystowską**. Uważa on, iż **radziecka** droga była najbardziej słuszną w rosyjskich warunkach; **ludowo-demokratyczna** jest najslusniejszą drogą krajów środkowej i południowo-wschodniej Europy; natomiast droga **labourystowska** najbardziej odpowiada angielskim warunkom. Mało tego — Wudel uważa labourystowską drogę za jedyną drogę Anglii (zresztą wbrew faktom); w każdym bądź razie nie wspomina o istnieniu, a nawet o możliwości innej drogi do socjalizmu.

Tow. Wudel jest marksistą. Uznając drogę labourystowską za jedynie słuszną, uważa ją widocznie za drogę całego obozu marksistowskiego W. Brytanii, za drogę zgodną ze wskazaniami marksizmu. I w rzeczy samej — nie zgadza się on jedynie z „konkretną realizacją, praktyką, a nie teoretyczną możliwością takiej drogi w ogóle”. Winna jest jedynie reformistyczna prawica.

„Niestety do dnia dzisiejszego stare prawicowe kierownictwo utrudnia i przeszkadza dojrzaniu i uznaniu tych perspektyw przez wielu szczerych socjalistów”.

O dalszej drodze do socjalizmu zadecyduje — zdaniem tow. Wudla — „znaczenie, siła, rozwój i ideologia lewicy labourystowskiej”. „Na lewicę labourystowską skierowane są oczy lwiej większości socjalistów świata”.

Dla uzasadnienia tej swojej tezy zmuszony jest autor stwierdzić nie odpowiadający rzeczywistości fakt. Jego zdaniem po latach 1917—24 i 1930 nastąpiło w Labour Party „gruntowne i bolesne otrzeźwienie przy pomocy klęsk i kompromitacji ze złudzeń labourystowskich na temat sposobu dochodzenia do socjalizmu”.

Tow. Wudel popadł przy tym w sprzeczności: — ostro krytykuje prawicę labourystowską, a nawet całą tę partię, za jej antymarksistowskie, antysocjalistyczne, antyradzieckie, wrógom demokracji ludowej stanowisko; krytykuje rezygnację z zasady walki klasowej oraz zbyt powolną nacjonalizację przemysłu; żąda zmian w aparacie państwowym, by uczynić go postępowskim (czego nie zamierza przecież doko-

nać Attlee). Z tych też względów dochodzi do wniosku, że „Labour Party nie dokonała takich reform społecznych, które zabezpieczyły marsz Anglii ku socjalizmowi”.

Ale jeśli tak jest rzeczywiście, jeśli labourystowska droga jest antymarksistowska, nieklasowa, niekonsekwentna — to jakże wiedzie ona do socjalizmu? **Czy ta labourystowska droga jest w ogóle drogą do socjalizmu?** W kim i w czym pokłada tow. Wudel swe nadzieje? Bo przecież jasne jest, że droga opierająca się o wskazania marksizmu, uznająca konieczność śmiałego i zdecydowanego usunięcia kapitalistów od władzy, wywłaszczenia wielkiego kapitału itd. — nie wiele ma wspólnego z drogą labourystowską. Jest to wprawdzie droga angielska (bo w Anglii), ale droga nie Labour Party. Tę drogę mogą wskazać jedynie angielscy marksiści, Angielska Partia Komunistyczna; w najlepszym razie będzie to droga jednolitego frontu obu partii robotniczych, o ile w przyszłości uzgodnią swe stanowiska, a Labour Party zrezygnuje ze swej współpracy z kapitałem i z obroną jego panowania.

Widzimy więc, jak wskutek błędności zasadniczego stanowiska uwikłał się tow. Wudel w sprzeczności. On, który krytykuje i gromi wszelkie odchylenia reformistyczne zarówno w polskim jak i międzynarodowym ruchu robotniczym — wziął w obronę jawnie antymarksistowską i nawet nie reformistyczną, lecz wręcz reakcyjną linię polityczną Labour Party. Trudno uważać to jedynie za nieporozumienie. Ale to nieporozumienie zobowiązuje nas do omówienia dwóch poruszonych przez tow. Wudla zagadnień, które znajdują często echo na łamach naszej prasy: 1) sprawy nacjonalizacji przemysłu; 2) zagadnienia władzy. Oczywiście, iż oba te zagadnienia, jak to wykażemy niżej, są ściśle ze sobą splecione i nierozdzielalne.

O PAŃSTWOWYM KAPITALIZMIE

Niejednokrotnie przeciwnicy ludowej drogi Polski podnosili i podnoszą zarzuty, że obecny nasz ustrój społeczno-gospodarczy jest w gruncie rzeczy swoistą odmianą kapitalizmu państwowego. Ten zarzut słyszeliśmy także z ust prawicy socjalistycznej w kraju i zagranicą.

Z drugiej strony z wielu ust (a szczególnie ze strony tej właśnie prawicy socjalistycznej) słyszeliśmy niejednokrotnie słowa pochwały dla rządu Partii Pracy za drogi jego rzekomej realizacji socjalizmu.

Zarzuty te, jak i pochwały świadczyć w gruncie rzeczy mogą jedynie o jednym: — ich autorzy nie bardzo zdają sobie sprawę z istoty zarówno kapitalizmu państwowego, jak i socjalizmu, a tym bardziej z ich wzajemnego związku. Dlatego dokonują nieprawdopodobnej z teoretycznego punktu widzenia, karkołomnej ekwilibrystyki myślowej i dowodzą rzeczy przeczących najbardziej oczywistym zdawałoby się faktom.

Jedną z najbardziej charakterystycznych tendencji rozwojowych monopolistycznego kapitalizmu jest ciągły proces zrastania się **monopolów kapitalistycznych z państwem**. Rząd coraz bardziej staje się narzędziem trustów, w ich interesie przeprowadza wytyczne ich polityki, — staje się jak gdyby „**zarządem naczelnym**” trustów i karteli. W ten sposób monopolistyczny kapitalizm zyskuje coraz bardziej cechy **państwowo-monopolistycznego kapitalizmu**, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że państwo nie wyodrębnia się ponad trusty, nie staje się władzą nad trustami, ale, zrastając się z nimi, staje się coraz bardziej bezpośrednim narzędziem i orężem ich polityki.

Wojna ostatnia ogromnie przyspieszyła ten proces. W USA jesteśmy świadkami, jak rząd w najbardziej otwartej formie, prawie bez wszelkiego woalu, pełni funkcje „zarządu głównego” trustów, a dyrektorowie trustów i bankierzy obejmują ośrodkie dominiujące stanowiska w organach władzy, wykorzystując je dla pomnażania swych zysków. Ten proces jest konsekwencją rozwoju monopolistycznego kapitalizmu. Przy obecnym wysokim stopniu koncentracji i centralizacji kapitału, mogą trusty utrzymać ciągłość produkcji i wymiany oraz wysoką stopę swych zysków jedynie przez bezpośrednie i codzienne posługiwanie się państwem dla swych wewnętrznych, jak też ekspansjonistycznych zewnętrznych celów.

Kapitalizm angielski nie osiągnął jeszcze takiego stopnia organizacji, jak amerykań-

ski czy niemiecki (do klęski), ale wskazany proces przerastania monopolistycznego kapitalizmu w państwowo-monopolistyczny jest również w W. Brytanii jaskrawo widoczny. I tam został on gwałtownie przyspieszony przez ostatnią wojnę.

Czy w tych warunkach nacjonalizacja niektórych gałęzi przemysłu w Anglii jest krokiem ku socjalizmowi, czy też drogą rozbudowania państwowo-monopolistycznych form kapitalizmu? W jakim stopniu nacjonalizacja górnictwa i upaństwowienie Banku Anglii są środkami dla ratowania kapitalizmu, w jakim zaś zakładają elementy przebudowy społecznej?

Zastanówmy się chwilę nad tym zagadnieniem z zasadniczego punktu widzenia.

Nie jest rzeczą marksistów abstrakcyjnie przedstawiać kapitalizm — socjalizmowi.

W monopolistycznej fazie kapitalizmu zaostrzyły się wszystkie podstawowe przeciwieństwa tej gospodarki; spotęgowały się jej chaotyczność i bezplanowość; zaostrzyła się walka o rynki, o surowce, która przerosła obecnie w walkę o samo istnienie państw i narodów. Walczą obecnie między sobą i konkurują nie tylko jak dawniej po prostu kapitaliści, ale głównie państwowo-zorganizowane potężne monopole. Zrastanie się trustów z państwem nie likwiduje, ani nawet nie osłabia przeciwieństw i chaotyczności gospodarki kapitalistycznej, ale ją jeszcze potęguje; walczą bowiem obecnie ze sobą rządy — te „zarządy główne” trustów, — potęguje się chaos w skali światowej.

Proces zrastania się trustów z państwem ułatwia im walkę po pierwsze — z własnym nie-monopolistycznym kapitałem, a po wtóre — z przemysłem innych krajów, szczególnie krajów zależnych politycznie czy gospodarczo. Potęguje więc w ten sposób dysproporcje w rozwoju poszczególnych krajów i gałęzi produkcji i wzmacnia ogólny chaos.

Z drugiej jednakże strony w monopolistycznej fazie kapitalizmu widoczna jest pewna planowość, ewidencja i kontrola w wewnętrznej działalności trustów oraz próby organizowania rynku przez każdy trust na swoim wąskim odcinku. Oczywiście — ta „planowość” i „organizacja rynku” nie wiele mają wspólnego z rzeczywistą planowością społecznej gospodarki, są ogromnie ograniczone i często bezsilne. Mają bowiem jedynie na celu zwiększenie zysków monopoli drogą ograniczania konsumentów i wyparcia konkurentów. W ten sposób przyczyniają się jedynie do **spotęgowania ogólnej bezplanowości kapitalistycznej gospodarki**.

Ponadto zaś w okresie zrastania się trustów z państwem powstają (najjaskrawiej w okresie pewnych napięć — wojen, kryzysów) załaski pewnej kontroli i ewidencji państwa — tego „zarządu głównego” trustów — nad gospodarką narodową. Rzecz oczywista — nie jest to kontrola niezależnego od trustów państwa. Wprost przeciwnie — ta kontrola i ta ewidencja, w rozmiarach niezbędnych dla interesów trustów — **organizowana jest przez same te trusty**; jest im bowiem niezbędna dla umacniania istniejących i zdobycia przy pomocy państwa nowych pozycji, zdławienia konkurentów względnie rozłoczenia nad nimi kontroli ich państwa, podporządkowania sobie, względnie zdławienia niezorganizowanego kapitału, jak też kapitału innych krajów. **Ta kontrola i ewidencja w skutkach więc potęgują jeszcze przeciwieństwa gospodarki kapitalistycznej i jej ogólną bezplanowość.**

W ten sposób, w takiej formie kapitalizm w monopolistycznej fazie swego rozwoju i w procesie zrastania się z państwem ukazuje pewne elementy monopolistycznych, względnie państwowo-monopolistycznych form planu, ewidencji i kontroli, które zresztą, jak wyjaśniłem wyżej, jedynie potęgują przeciwieństwa gospodarki kapitalistycznej, jej dysproporcje i bezplanowość ogólną.

Wiemy jednakże, że planowość, ewidencja i kontrola są elementami gospodarki społecznej. Gdyby więc, przy tak rozwiniętej gospodarce, rząd i państwo robotniczo-chłopskie, ludowe, zastąpiły rząd i państwo kapitalistyczne i rozciągnęły nad przemysłem swą kontrolę względnie objęły go w swe posiadanie — wówczas interes całego narodu zastąpiłyby przywileje trustów i karteli, a państwowo-kapitalistyczny mono-

pol przeobraziły się (jeśli tak można się wyrazić) w układ o poważnych elementach społecznych, socjalistycznych.

„Socjalizm — powiada Lenin — nie jest czym innym, jak najbliższym krokiem naprzód od państwowo-kapitalistycznego monopolu. Albo inaczej: socjalizm jest nie czym innym, jak państwowo-kapitalistycznym monopołem, **obróconym na korzyść całego narodu** i który w takim też stopniu przestał być kapitalistycznym monopołem”. (XXI — str. 187).

„...państwowo-monopolistyczny kapitalizm — dodaje Lenin — jest najdoskonalszym materialnym przygotowaniem socjalizmu, jest jego **przedśionkiem**...”

Wystarczy postawić zamiast „junkiersko-kapitalistycznego państwa — państwo rewolucyjne — demokratyczne t.j. takie, które rewolucyjnie burzy wszelkie przywileje” — wówczas państwowo-monopolistyczny kapitalizm „nieuniknienie oznacza krok i krok ku socjalizmowi” (ibid.).

PRZYKŁAD WIELKIEJ BRYTANII

Rząd Labour Party, nacjonalizując górnictwo i Bank Anglii, działał bezsprzecznie pod naciskiem mas. Ale podejmując te kroki działał w gruncie rzeczy **w interesie ratowania kapitalizmu**, przyczynił się swą polityką obiektywnie do utrwalenia przywilejów kapitalistów, przywilejów trustów. Cała bowiem polityka rządu Labour-Party jest polityką ratowania kapitalizmu, polityką zachowania Imperium brytyjskiego. Nacjonalizacja wymienionych gałęzi gospodarki narodowej oznacza **rozbudowanie państwowo-monopolistycznych form kapitalizmu**, które są „ostatnim szczeblem historycznej drabiny, między którym to szczeblem a szczeblem nazywanym socjalizmem nie istnieje żadne szczeble pośrednie” (Lenin). Labourystowska „droga do socjalizmu” jest jedynie **drogą umacniania, utrwalania, ratowania kapitalizmu przez rozbudowanie jego państwowo-monopolistycznych form**. I rzeczywiście — upaństwowienie kopalń nie tylko uratowało wielu ich właścicieli od bankructwa i dało im żywą gotówkę do rąk, ale okazało się drogą ratowania całego przemysłu i kapitalizmu angielskiego, zagrożonego brakiem węgla, wobec zafałszywanej techniki górnictwa węglowego.

Jeśliby jednakże klasa robotnicza W. Brytanii wzięła w tych warunkach władzę w swe ręce (polityka rządu Attlee wykazuje codziennie, iż jest on rządem burżuazyjnym), to państwowo-monopolistyczne formy kapitalistyczne przemysłu przekształciłyby się w socjalistyczne, względnie w formy o poważnych elementach socjalistycznych. **Decyduje charakter władzy państwowej, a tym samym sposób wykorzystania produktu dodatkowego — czy będzie on służyć kapitalistom, czy też interesom narodu. Decyduje — kto i w czym interesie przeprowadza nacjonalizację.**

Dlaczego jednakże rząd Labour Party odrzuca obecnie myśl o nacjonalizacji dalszych gałęzi gospodarki narodowej, będących przeważnie w rękach monopolów? Dlaczego natomiast marksiści angielscy, dla czego partia komunistyczna domaga się nacjonalizacji całego kluczowego przemysłu, transportu, banków?

Przywódcy Labour Party odrzucają myśl o dalszej nacjonalizacji nie tylko dlatego, że w chwili obecnej jest to dla interesów wielkiego kapitału (a także ze względu na wolę dolarowych mocodawców) niewygodne. Nacjonalizacja kluczowych gałęzi gospodarki narodowej mogłaby wręcz zagrozić interesom i panowaniu trustów, osłabiła by kapitalizm, ułatwiła zdobycie władzy przez klasę robotniczą i przekształcenie przemysłu z kapitalistycznego na socjalistyczny. Z tych też względów nacjonalizacja, dokonywana pod naciskiem mas, nacjonalizacja wbrew oporowi i wbrew interesom monopolistycznego kapitału, choćby przemysł ten w pierwszym okresie przybrał formy państwowo-kapitalistycznego monopolu, jest postępowem w stosunku do prywatno-kapitalistycznych monopolów; ułatwia bowiem rozwój walki klasy robotniczej, dokonuje się w walce z kapitałem, osłabia kapitalizm.

Widzimy więc **dwie strony zagadnienia nacjonalizacji i dwie strony zagadnienia państwowego kapitalizmu**.

Nacjonalizacja górnictwa i Banku Anglii, które przeprowadził rząd Labour Party, miały na celu ratowanie kapitalizmu

angielskiego i imperium brytyjskiego przez rozbudowanie państwowo - kapitalistycznych form monopolu; wzmocniła więc kapitalizm angielski.

Szeroka natomiast nacjonalizacja kluczowych gałęzi przemysłu, banków, transportu, ubezpieczeń, jakiej domagają się masy robotnicze Anglii, angielscy marksiści, Angielska Partia Komunistyczna, mają na celu podważenie panowania monopolów. Byłaby więc krokiem naprzód, lecz nie ku społecznym formom produkcji i wymiany w ramach kapitalizmu, jak głoszą reformiści, ale jedynie o tyle, że ułatwiłaby zdobycie władzy przez klasę robotniczą i późniejsze przeobrażenie przemysłu z państwowo-kapitalistycznego w socjalistyczny.

Znacjonalizowany przemysł zyskuje cechy państwowo - kapitalistycznego monopolu, póki u władzy pozostaje rząd burżuazyjny (a takim jest rząd Labour Party). Jedynie objęcie władzy przez klasę robotniczą, przez lud pracujący, może zapoczątkować proces jego socjalizacji. Nacjonalizacja przemysłu jest więc pozytywna jedynie o tyle, o ile przyspiesza objęcie władzy przez klasę robotniczą.

Z tych względów marksiści angielscy domagają się nacjonalizacji kluczowych gałęzi gospodarki narodowej, nie ludząc się i nie ludząc klasy robotniczej, jakoby można było budować socjalizm w łonie kapitalizmu i to bez naruszenia przywilejów kapitalistów, — jak to głoszą przywódcy Labour Party.

A jak wygląda sprawa z kapitalizmem państwowym np. w Polsce? Czy np. nasz przemysł państwowy jest z charakteru swojego przemysłem państwowo - kapitalistycznym? Oczywiście, że nie, gdyż władza nasza nie jest władzą kapitalistyczną, lecz ludową, robotniczo - chłopską. Nasz przemysł z charakteru swojego jest przemysłem o poważnych elementach socjalistycznych, bowiem dochód z tego przemysłu (produkt dodatkowy) służy interesom narodu, a nie przywilejom kapitalistycznym. Należy jedynie zapobiec, aby część tego produktu dodatkowego nie przeszczała się do sektora prywatnego i aby w całości służyła narodowi; umacniać się w ten sposób będą socjalistyczne elementy naszej gospodarki.

Czy z twierdzenia tego wypływa wniosek, iż w Polsce nie istnieje układ społeczny (sektor) państwowo - kapitalistyczny? Fakty przeczyłyby takiemu twierdzeniu. Jeśli rząd rozciąga coraz bardziej swą kontrolę nad działalnością prywatnego sektora, jeśli stara się coraz bardziej ująć jego działalność w ramy planu państwowego, znaczy to, iż układ społeczny kapitalistyczny przeobraża się stopniowo w układ społeczny państwowo - kapitalistyczny, t. zn. kapitalistyczny, działający pod kontrolą państwa. Zyski płyną jeszcze do kieszeni kapitalistów i nie służą interesom narodu, ale po pierwsze — państwo ludowe coraz bardziej ogranicza strumień tych zysków, a nadto część ich kieruje do skarbu państwa; a powtóre — droga kapitalizmu państwowego w ramach gospodarki ludowej, przy władzy robotniczo - chłopskiej, jest prostą drogą do socjalizmu; nie umacnia, nie utrwała i nie ratuje ona kapitalizmu, jak np. w labourystowskiej Anglii.

A oto mały przykład:

Tow. Jan Rosner podjął się na łamach tygodnika „Świat i Polska” niewdzięcznego zadania: postanowił dowiedzieć, że obecny rząd Labour Party „jest może pierwszym rządem na zachodzie, który stara się dotrzymać swych przyrzeczeń wyborczych”. Ale gdy autor zaczyna w dalszym wywodzie zastanawiać się, — co właściwie wypełnił z wielu swych demagogicznych przyrzeczeń rząd Attlee — dochodzi do wręcz oszałamiającego rezultatu; przyrzeczono znacjonalizować cały wielki przemysł, banki, koleje, towarzystwa ubezpieczeń, a tymczasem znacjonalizowano tylko górnictwo węglowe i upaństwowiono Bank Angielski, wszystkie zaś pozostałe przyrzeczenia, pozostają i pozostaną w sferze marzeń naiwnych i oszukanych. A zresztą — cóż to za droga do socjalizmu, skoro „ostatnio konserwatyści oświadczyli, że pogodzili się z nacjonalizacją przemysłu węglowego i że w razie dojścia do władzy, nie będą się domagali jego „reprivatyzacji” (ibid.).

Mało tego — tow. Rosner zastanawia się, czy wykupienie przez rząd Attlee, po bardzo wysokich cenach, przemysłu węglowego i udziałów w banku osłabiło czy też wzmocniło kapitalizm angielski? I dochodzi do nieoczekiwanego wniosku: „Kapitaliści nie dostrzegli w tym posunięciu żadnego zamachu na swoje przywileje”.

„Ta pozytywna ocena — dodaje autor — dokonanej reformy socjalnej ze strony

wielkiego kapitału brytyjskiego musi być zapewne żenująca dla labourystów”

METODY I PRZYWÓDCY

W obszernym swym wywodzie nie spróbował tow. Wudel ściśle i jasno określić, — czym właściwie różni się droga labourystowska np. od drogi proponowanej przez angielskich marksistów (np. przez Harry Pollita) lub od naszej drogi demokratyczno-ludowej. Przecież ogólnikowe określenie w rodzaju — „droga pokojowa”, „stopniowe przemiany” itp. nie określają jeszcze linii taktycznej. Nie widzieliśmy jasno granicy — gdzie kończy się obrona kapitalizmu i gdzie zaczyna się budowa socjalizmu; a nadto przecież droga nasza jest drogą „pokojową”, drogą „stopniowych przemian”.

Nie ulega wątpliwości, że tow. Wudel uwikłał się w sprzeczności, nie zawsze zgodne może z jego intencjami. Uwikłał się głównie dlatego, że nie właściwie, nie historycznie ocenia rolę poszczególnych partii w angielskim życiu politycznym. Uważa on Labour Party za „reprezentantkę historycznych interesów klasy robotniczej”. Ale jednym tchem dodaje tak ważne zastrzeżenia:

„Świadomość polityczna Labour Party jeszcze nie osiągnęła poziomu współczesnej partii socjalistycznej. Członkowie Labour Party w wielu wypadkach nie uważają się za socjalistów, a w rzeczywistości odrzucają marksizm, najwyższy wyraz ideowy socjalizmu... Członkowie wyższych władz partii uczestniczą niekiedy w nagonce na komunistów. Labour Party zajmuje stanowisko blokowania się z imperializmem USA i chce wystąpić jako główny jego mandatariusz na kontynencie europejskim”.

A jeśli tak — mamy prawo zapytać — czy taka partia jest w ogóle „reprezentantką historycznych interesów klasy robotniczej”? Czy może ona i czy chce prowadzić

klasę robotniczą do socjalizmu? Czy jest ona obrończynią interesów klasy robotniczej, czy też obrończynią brytyjskiego kapitału i imperializmu?

Tow. Wudel nie docenił zasadniczej rzeczy: żadna armia nie może zwyciężyć bez mądrego, doświadczonego sztabu generalnego i zahartowanych, zdyscyplinowanych kadrów oficerskich. Podobnie klasa robotnicza nie może zwyciężyć bez mądrego, doświadczanego sztabu generalnego i zahartowanych, zdyscyplinowanych kadrów oficerskich w postaci swej robotniczej, marksistowskiej partii politycznej. Kryzys imperium brytyjskiego budzi aktywność angielskiej klasy robotniczej. Rośnie wraz z nią Angielska Partia Komunistyczna, która już w chwili obecnej posiada pokaźne wpływy w klasie robotniczej. Ona nie jest i nie będzie „mandatariuszem imperializmu amerykańskiego na kontynencie europejskim”. Ona nie knuje i nie będzie knuć spisków przeciw demokracjom ludowym.

Oczywiście — warunkiem zwycięstwa angielskiej klasy robotniczej, warunkiem zasadniczym pochodzą Anglii do socjalizmu jest jedność klasy robotniczej, współdziałanie obu stronnictw. Jedynie to współdziałanie zapewni „drogę pokojową” i „stopniowe przemiany”. To przeoczył tow. Wudel i wszystkie swe nadzieje pokłada w lewicy Labour Party, tej lewicy, która już zdążyła ujawnić niezwykłą skalę wahań i braku zdecydowania, drobnomieszczańskich złudzeń i braku odwagi. Czy taka partia może przodować klasie robotniczej i zapewnić zwycięstwo w walce?

Nie ma drogi do socjalizmu bez najbardziej zwartej jedności klasy robotniczej. Nie ma drogi do socjalizmu bez najszerzego, przodującego udziału w tych zwartych szeregach marksistowskiej partii klasy robotniczej. Nie ma drogi do socjalizmu bez zdobycia władzy przez klasę robotniczą we-

spół z całym ludem pracującym i bez usunięcia burżuazji od władzy metodami, jakie historia nakazywać będzie. Jakże będą te metody — o tym będzie decydować siła oporu tych zmierzających z powierzchni historii klas. Można wierzyć w „rozsądek” angielskich kapitalistów. Ale to nie znaczy, iż trzeba się ludzi „na kredyt” i rozbrajać naród nie zawsze prawdopodobnymi perspektywami. Rzecz nie w tym, aby „stworzyć nowy postępowy aparat państwowy” w ramach kapitalizmu. Chodzi o sprawę władzy.

* * *

Nie ulega wątpliwości, iż cała ta szumna, głośna, często nawet krzykliwa, lecz nie zawsze rozsądna, propaganda „angielskiej drogi do socjalizmu” (propagowana nawet przez tak „postępowe” pisma jak „Gazeta Ludowa” i „Głos Anglii”) ma na całym świecie swe zupełnie określone cele, zresztą powszechnie znane i słusznie wiązane z polityką Bevina.

W naszych jednakże polskich warunkach ich wydźwięk jest szczególny; jeśli Anglię ma ta droga uratować od socjalizmu, jeśli ma tam przyczynić się do uratowania kapitalizmu — to u nas może ona przyczynić się jedynie do cofnięcia Polski z obranej drogi i wspaniałych osiągnięć.

Rzecz jasna — tow. Wudel był daleki od podobnych intencji. Podkreśla to wielokrotnie i to wypływa z całego toku jego myśli. Ale wobec faktu, że labourystowska „droga do socjalizmu” wskazywana nam jest często przez przeciwników obecnej Polski, jako wzór godny naśladowania; wobec tego, że hasła te podjął np. we wspomnianych na początku artykułach tow. Jan Topiński dla krytyki ludowo - demokratycznej drogi Polski — konieczna jest całkowita jasność oceny tego zagadnienia.

Aleksander Litwin

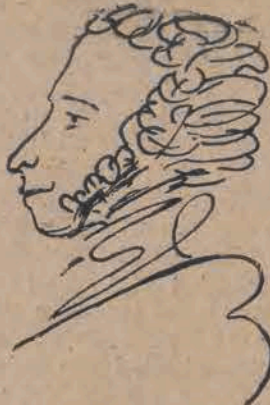
LEON GOMOLICKI

DROGA DO ROSJI (II)

4. OBOZY LITERACKIE

AUTOR cytowanego pamiętnika był bratem niepospolitej postaci wydawcy „Moskiewskiego Telegrafu”, Mikołaja Polewoja. Syn syberyjskiego kupca, fabrykanta porcelany z Irkutcka, samouk o niezwykłych zdolnościach pamięciowych, wybił się M. Polewoj w moskiewskim świecie literackim. Brak systematycznego wykształcenia przezwyciężył niezwykłą intuicją. Chodził poomacku dookoła współczesnych mu bożyszcz ludzkości. Stał w polowie drogi do Schellinga, przyswajając go sobie przez filozofię eklektyczną Cousina. Do Szekspira zbliżył się młotem tłumacząc Hamleta. W swoich refleksyjnych powieściach wulgaryzował Schillera, E. T. A. Hoffmanna i Waltera Scotta. Wydał 5 tomów dyktandowej „Historii narodu rosyjskiego”, polemizując z Karamzinem, któremu zarzucał brak syntezy historycznej. Jako krytyk błędził pomiędzy subiektywną a ewolucyjną definicją romantyzmu. Znaczenie swoje zawdzięcza Polewoj niezwykłym zdolnościom wydawcy-popularyzatora. Lata 1825—1834 są szczytem jego działalności wydawniczej: wydaje bowiem, redaguje i w większej części wypełnia „Moskiewski Telegraf”, pomysły jako pismo popularyzujące wszechstronną wiedzę encyklopedyczną. Na łamach swego pisma wystąpił Polewoj jako ideolog jeszcze niewyróżnionego wówczas burżuazji rosyjskiej. Pozbawienie jej praw politycznych pozostawało w sprzeczności z ważnością funkcji polityczno-gospodarczych, które wykonywała. Polewoj był sam częścią tej masy i dobrze znał jej nastroje i potrzeby. Stworzył więc dla niej organ zaspakajający głód wiedzy i zainteresowań ideologicznych. Dał to, czego nie mogły dać almanachy i czasopisma ścierających się w swych ambicjach kółek literackich inteligencji szlacheckiej, a jednocześnie prześcignął swoich konkurentów-wydawców zawodowych. M. in. był on w Rosji pierwszym popularyzatorem ekonomii politycznej. W „Moskiewskim Telegrafie” Polewoj potrafił skupić kilku czołowych pisarzy. Współpracował tam Puszkina (artykuł w obronie pani de Stael i inne); Włodzimierz Odojewski pisał recenzje muzyczne i szkice humorystyczne; Władimirski umieszczał dowcipne artykuły, dzięki którym „Telegraf” szczęśliwie konkurował z „Moskowskim Wiestnikiem” ku zdumieniu i irytacji Pogodina i Szewyriowa. Wkrótce nakład „Telegrafu Moskiewskiego” z 700 egzemplarzy skoczył na zawrotną wówczas liczbę dwóch tysięcy (najpopularniejszy almanach „Półna Gwiazda” Rylejewa był rozsprzedany w 1500 egz.).

Mimo, że Polewoja przyjmowano w kołach intelektualistów i współpracowano z nim, krystokracja literacka uważała go za wulgaryzatora, a działalność jego za szkodliwą i godną zwalczania. „Moskowskiej Wiestnik” był w znacznej mierze pomysły jako ośrodek polemiki z „Telegrafem”. Intelektualistów



Aleksander Puszkina (autoportret)

zresztą raz i nie tylko dyletancki romantyzm Polewoja. Politycznej opozycji, szlacheckiej, niezależnie od stopnia jej bierności w okresie reakcji pogrudniowej, obcy był lojalny stosunek środowiska Polewoja do samowładztwa. Broniąc mieszczaństwa, nigdy nie występował on przeciwko reżymowi. Konieczność nadania praw politycznych burżuazji tłumaczył jej wysokim etycznym poziomem. Były to właściwie pierwsze w Rosji przejawy mieszczańskiej ideologii i sentymentalizmu. Lojalna postawa nie uratowała „Moskiewskiego Telegrafu”. W 1834 roku czasopismo zamknięto. Razem z nim kończy się kariera Polewoja. Ostatnie 12 lat jego życia giną w niepamięci.

Rok 1826 był czasem rozkwitu sił i zdolności młodego kupczyka, kiedy to nareszcie uzyskał on możność całkowitego poświęcenia się literaturze. W roku tym zawierał dwie nowe znajomości, zbliżając się do Mickiewicza i Baratynskiego („Zapiski” K. Polewoja, str. 166-7; „Literaturnyje salony i krużki” str. 156). Dla Mickiewicza dom Polewoja, gdzie intelektualistów z koła lubomudrów spotykali się z literatami w stylu Bułgaryna, stał się przedsiownikiem do sanktuarium literatury rosyjskiej. Tu Mickiewicz usłyszał pierwsze zaciekle debaty rosyjskie, nie mieszczańskie się w ramach jednego wieczoru, lub nocy. Na tym polu wyróżniał się przyszły czołowy słowianofil Iwan Kiriejewski i niejaki M. Rozberg, przyszły profesor języka rosyjskiego i piśmiennictwa na uniwersytecie w Dorpacie. Któregoś wieczoru rozpoczęli oni spór, który trwał do późna w noc. Ponieważ nie doszedł on do żadnej konkluzji, całe towarzystwo umówiło się następnego dnia u Kiriejewskiego. Po nowych całonocnych zmaganiach nie kapitulujący bynajmniej Rozberg zawołał z kłębów fajkowego dymu: „Nie zgadzam się, ale daruję, nie mam więcej siły!”

Owocniejsze debaty toczyły się w kółku „miłośników mądrości”, lubomudrów. „Do filozofii niemieckiej — pisał jeden z ich grona, A. Koszelew, — a zwłaszcza do dzieł Schellinga garnęliśmy się wszyscy, tak, że studiowanie reszty posuwało się u nas bardzo niemrawo, natomiast cały czas poświęcaliśmy niemieckim miłośnikom mądrości. Wówczas odbywały się u nas nocne rozmowy, które trwały daleko po północy i były owocniejsze od wszystkich wykładów naszych profesorów”.

Koło lubomudrów powstało w latach 1822-24, kiedy wyłoniło się ono z zebrań u tłumacza Tassa i Ariosta, Raicza i z grona tak zwanych „młodzieńców archiwalnych”. Była to wówczas zielona młodzież, rozczuwająca się w romantykach niemieckich. Większość jej pracowała w moskiewskim archiwum kolegium spraw zagranicznych, o wstąpienie do którego starał się z Odessy Mickiewicz. Stąd pochodzi nazwa, która została przyjęta z lekkością ręki Sobolewskiego i utrwalona przez Puszkina w „Eugeniuszu Onieginie”. Słynęli oni jako zbiorowisko złotej młodzieży i miano „młodzieńców archiwalnych” nabrało charakteru zaszczytnego.

Początkowo lubomudrzy zbierali się w mieszkaniu ks. Włodzimierza Odojewskiego, współwydawcy „Mnemozyny” Kuechelbeckera. Ten schorzał młodziemiec o twarzy Napoleona, uchodził w swoim gronie za rosyjskiego Fausta. Miał zainteresowania o niezwyklej rozpiętości w wielu dziedzinach: literatura, muzyka, chemia, alchemia, technika, magia, sztuka kulinarna, pedagogika (pisał bajki dla dzieci), bibliologia, medycyna. Lubili otaczać się relikwiami mistyki romantycznej. Zżywał eter, który nazywał eliksirem Hoffmanna, a Puszkina ochrzcił „kroplami hoffmanowskimi”. Od E. T. A. Hoffmanna, którego naśladował w swoich nowelach fantastycznych, Włodzimierz Odojewski zapożyczył uczonego kota Murra, wylegującego się na stosach książek, rozsypanych na podłodze. W dwóch ciemnych pokoikach, gdzie zbierali się „miłośnicy mądrości”, książki leżały, jak opowiada M. Pogodin, „na stołach i pod stołami, na krzesłach, po wszystkich kątach, tak że przecisnąć się wśród tych stosów było zadaniem niełatwym i niebezpiecznym”. Na parapetach okien, na półkach, na ławkach stały butle, flaszki, słoje, moździerze, retorty i inne narzędzia magiczne. W kącie naprzeciw wejścia widniał szkielec ludzki, opatrzone napisem: Sapere aude. Trzeba było niezwyklej przebiegłości i wynalazczości, cechującej gospodarza, — dodaje Pogodin, — aby do tej ciemnoty wtłoczyć jeszcze nieduży cokolwiek fortepian”.

Włodzimierz Odojewski przewodniczył na tych zebraniach, a Dymitr Wieniewitnow mówił „więcej od wszystkich”, doprowadzając obecnych do entuzjazmu. Wysmukła postać tego „zdumiewającego młodzieńca”, pod-



Piotr Wiaziemski

kreślona ówczesną modą — długim surdudem i obcisłymi spodniami, była niezwykle subtelna i uroczą w swoim romantycznym zapale. Wyznawał on kulturę niemiecką i nie nawidził „zarozumiałej ignorancji Francuzów” na całej przestrzeni: „od wyjąłowego klasycyzmu aż do dusigroszów mieszczańskich”. W salonach literackich uchodził za rosyjskiego André Chéniera. Był zakochany beznaście w melancholijną miłością w ks. Zinaidzie Wołkońskiej. Uczucie to podobno przyczyniło się do jego wczesnego zgonu w marcu 1827 r. Wieniewitiłow był dalekim krewnym Puszkina, którego na jesieni 1826 r. wprowadził do środowiska lubomudrów. W jego mieszkaniu odbyło się pierwsze czytanie „Borysa Godunowa”, na którym przypuszczalnie obecny był Mickiewicz. Wówczas szczerze grono „miłośników mądrości” przeszło swoje pierwotne zadanie i przeistoczyło się w koło młodych teoretyków, dyktujących nową estetykę literaturze rosyjskiej. Na czołowe miejsce, jako najtęższy teoretyk i najzdolniejszy z całego zespołu poeta, wysunął się S. Szewyriow, którego wiersze Puszkina wyróżnił.

Czasz te kiedy Mickiewicz zbliżył się do nowej generacji romantyków rosyjskich, czasy powstania „Moskowskiego Wiestnika” i otwartej inwazji lubomudrów M. Pogodin charakteryzuje w sposób następujący: „Przyszły dla literatury najgorętsze czasy. Codzień słyszało się o czymś nowym...: poematy Baratynskiego, „Bieda z tym rozumem” Gribojedowa, opozycja Polewoja w „Moskiewskim Telegrafie” i związek jego z Buharynem, „Liada” Gnedicza, Tasso Ralca, Pawłow, wykładający na uniwersytecie filozofię natury... Wieczory żywe i wesole następowały jeden po drugim... Mickiewicz ujawnił dar improwizacji. Przyjechał M. Glinka... i dotężyła się muzyka”.

Ambitny Szewyriow, który wstąpił do kolegium redakcyjnego „Moskowskiego Wiestnika” wbrew woli Pogodina i którego zdolności tak cenili Puszkina, okazał się niezwykle trudnym we współpracy. Spory z nim, jak świadczy Pogodin, „doprowadzały nas do łez i kiedy na ogólnych zebraniach redakcyjnych już brakło do debatów sił i krtai zdawała się zasychać, zalewaliśmy waśnie winem cypryjskim, którego spory zapas zdobyliśmy w swoim czasie. Wino grało na naszych zebraniach, ale tylko do chwili póki weseli ono serca ludzkie, Puszkina nie odmawiał od czasu do czasu kieliszka.”

Zresztą nie samo wino łączyło redakcyjny zespół „Wiestnika”, który miał zapowiadać nową erę krytyki i poezji rosyjskiej. Mając styczność z tymi ludźmi, zbliżał się Mickiewicz do samego źródła idei, zakreślających granice rozwoju myśli rosyjskiej na parę dziesięcioleci naprzód. Żeby zrozumieć istotne znaczenie dokonanego przez nich przewrotu, musimy cofnąć się ku początkom romantyzmu rosyjskiego.

5. LALLAH ROOKH A ODA SPOŁECZNA

PIERWSZY objawem rosyjskiego sentymentalizmu była książka Radiszczewa^{*)}, wykleta i spalona przez oświeconą monarchię Katarzynę. Socjalne zasady Rousseau, przyznające chłopom pańszczyźnianym prawa do uczucia i życia, przybrały formy zanadto rewolucyjne



Eugeniusz Boratyński

dla cesarzowej, która zapewniała Voltaire, że „w Rosji nie ma chłopów, którzy nie jadbby kury, kiedy się tylko jemu podoba, a od pewnego czasu woła on nawet indyki”. Rosyjski Sterne uzasadnił i przeanalizował uczucia poszukiwacza prawdy, podróżującego wśród objawów ucisku, nędzy ludu i niesprawiedliwości społecznej: „Rzuciłem wzrokiem dookoła siebie, — pisał w przedmowie, — i dusza moja urażona została cierpieniem ludzkości”. Był to Sterne bardziej skomplikowany, przywrócony moralizatorskim zasadom wieku Oświecenia.

W tym samym roku, kiedy ukazała się znaniejsza książka Radiszczewa, drugi rosyjski naśladowca „The Sentimental Tourney”, Karamzin odbywał podróż po wzburzonej wydarzeniami paryjskimi Europie. W 1791—92 latach wydał on „Listy rosyjskiego podróżnika”. Książka ta miała dla Rosji wielkie znaczenie formalne. Styl jej dał początek prozie rosyjskiej, język — ustalił na kilka dziesięcioleci granice rozwoju literatury. Ale już w pierwszym dziele Karamzina zarysowała się zdradziecka przemiana mieszczańskiego sentymentalizmu sternowskiego na rosyjski sentymentalizm szlachecki, który można nazwać feodalno-utopijnym. Europeizowana proza, jak i uczuciowe melancholijne liryki Karamzina stały się zapora, która zatrzymała bieg wzmożonej patetycznej poezji klasycyzmu. Życie odeszło od tragedii, ody i lapidarnego stylu satyry i skoncentrowało się na małych rodzajach literackich — opowiadaniach i elegiach, traktujących o prywatnych przeżyciach, miłości, rozpacz i śmierci. Dalszy rozwój kierunku Karamzina nadali ci, których Puszkina uznawał za swoich najbliższych nauczycieli: Batuszkow i Żukowski.

Naśladowca Parny'ego i elegii Millevoy'ego, Batuszkow wygłosił w r. 1816 w Towarzystwie Miłośników Piśmiennictwa w Moskwie referat „O wpływach lekkiej poezji na język”. Był to program postępowej roli elegii w rozwoju języka literackiego. Żywość, prostotę i jasność mowy potocznej uważał Batuszkow za zasadę intymnej poezji uczuciowej. Zresztą rozszerzając jej granice poza osobowość autora dał Batuszkow wzór elegii historycznej w „Umierającym Tassie”. Tym samym został rozpoczęty proces dekanonizacji rodzajów literackich, podchwycony przez Puszkina. Młodego Puszkina łączyła z poezją Batuszkowa zajęta przez niego pozycja pomiędzy Parny i Chéniera, przezwydzielone rokoko na pierwszym etapie realistycznym sentymentalizmu.



Mikołaj Palewoj

W przeciwieństwie do Batuszkowa, prześlągniętego kulturą francuską, Żukowski ulegał wpływom romantyków niemieckich. Przednikiem w tym miał pierwszego romantyka rosyjskiego mało znanego i szybko zapomnianego poetę, Gabyriela Kamieniewa (1772—1803). Kamieniew pochodził z kupieckiego stanu. Ojciec jego, bogaty fabrykant, kamienicznik i pierwszy prezydent miasta Kazani, oddał syna do niemieckiej szkoły, tak że Kamieniew prawie nie znał ojczystej literatury i nigdy nie opanował rosyjskiej pisowni. Dzięki dziwacznemu wychowaniu stał się on jedynym w swoim rodzaju romantykiem, jednolitym, bez ewolucji i odchyleń. Kamieniewa bardzo cenili Puszkina, który powiedział o nim: „ten człowiek godzien jest szacunku, ponieważ pierwszy w Rosji wyraził się klasycyzmem”. Ale najbardziej znaną cechą poezji Kamieniewa była jej tragiczna istota, nie mająca nic wspólnego z schoene Seele ziemianńskiego sentymentalizmu, poszukującego w sielance schronienia od powstającej wtenczas w Rosji kultury miasta, jako ośrodka przemysłu i techniki. Właśnie przedstawicielem tej drugiej linii romantyzmu rosyjskiego, charakterystycznej dla całego pokolenia współczesnego Puszkiniowi, był Żukowski. Powierzchniowy zapal do romantyków niemieckich łączył on dłuższy czas z zasadami estetyki uczniów racjonalisty Baumgartena. Pozostawał dworakiem nawet na mistycznych wyżynach; komentując w liście prywatnym swój wiersz „Lallah Rookh”, Żukowski przytaczał słowa Rousseau „Il n'y a de beau que ce qui n'est pas” i budował chwiejną estetykę mistyczną na falkie z życia dworskiego — pantominie inscenizującej poemat Tomasa Moora, w której brał udział (w roku 1821 w Berlinie)

^{*)} Radiszczew, pierwszy świecki prozator rosyjski, uczył się na uniwersytecie w Lipsku razem z Goethem i ojcem Kuechelbeckera.

przyszły car i pogromca dekabrystów Mikołaj z małżonką.

Pierwsze ballady Żukowskiego oparte są na kanonach sielanki klasycznej z wprowadzeniem elementu folklorystycznego. Można pomyśleć, że na przełomie wieków XVIII—XIX klasycyzm rosyjski wszedł na nowe tory, otrzymując zabarwienie karamzinowskiej uczuciowości. Pokolenie preromantyków szukało odnowy w żywiole ludowym, najczęściej obserwowanym przez szkła niemieckie. Za namową Karamzina zamierzał Żukowski napisać narodowy poemat, epicki „Włodzimierz”. W 1807 r. wpadła w jego ręce estetyka kantowska Bouterweka, łącząca normatywne zasady klasycyzmu z filozofią wczesnego romantyzmu, ujmująca sztukę jako metodę poznania i kontemplacji. Książka ta wywarła decydujący wpływ na Żukowskiego. W tym samym czasie studiował on artykuły Schillera, również oparte o idealistyczną estetykę Kanta. Pod ich wpływem pisał rozprawę „O wartości starych i nowych pisarzy”. Lata 1816—17 spędza prawie w całości w Dorpacie, gdzie uczęszcza na wykłady ucznia Kanta Gottlieba Weniamina i przyjaźni się z kołem miłośników romantyzmu niemieckiego. Najwięcej oddziaływała na twórczość Żukowskiego jeńska grupa romantyków, zwłaszcza jej prawe mistyczne skrzydło z Novalisem na czele. Pod tym wpływem naśladował Żukowski leksykę romantyczną, pozbawioną deklamacji i retoryki, kiedy słowo traci cechy konkretne, nabiera charakteru impresjonistycznego.

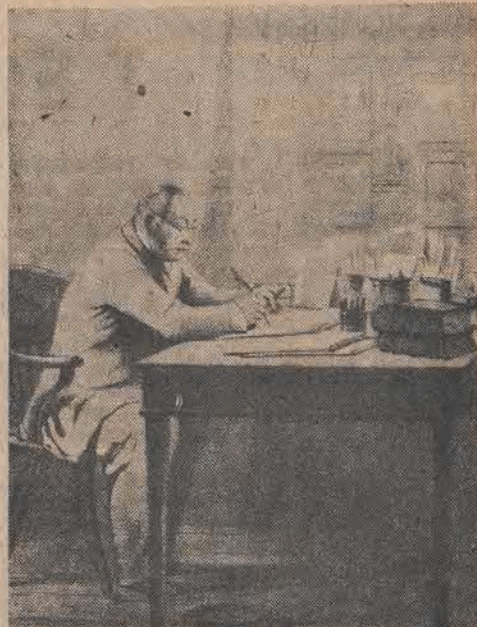
Psychologizując składnię Karamzin korzystał ze wzorów zachodnich, bo nie posiadał ich w języku rosyjskim. Intonacje jego okresów syntaktycznych nie przekraczały jeszcze jednak granicy frazeologii klasycznej. W stylu jego nie przebrzmiały jeszcze retoryczny barok. Żukowski pierwszy pozbawił wyraz rosyjski objętości. Materiał, w którym podaje swoją odmianę romantycznego joy of grief, jest bezcielesny i przezroczysty, jest materiałem mistycznych wizji tylko pozornie naśladowanych tę lub inną epokę, kraj, obraz, kulturę.

Po wojnach napoleońskich reakcyjna szlachta rosyjska aktywizuje się na nowo. W literaturze znajduje to swój wyraz w akcji natarcia na mniemanych przedstawicieli romantyzmu, wśród których na czołowe miejsce wysuwa się wówczas Żukowski. „Za pomocą językowego i literackiego hołdu Karamzinowi, — pisze Wiktor Hofman, — złożonemu przez rosyjską szlachtę pańszczyźnianą, dało się oblaśnić „wiek wiedzy, handlu i przemysłu” na czas nader krótki”. Wszystko, co nie stoi w szeregach epigonów klasycyzmu uważane jest obecnie za polityczny i literacki jacobinizm. Etykieta „jacobina” przyczepiono do nazwiska Żukowskiego tak ściśle, że poseł holenderski Heckern nazywa go w swoich raportach „wodem liberałów rosyjskich”. Na czele reakcji klasycyzmu stanął admirał A. Szyszow, założyciel wespół z 70-letnim Dierżawinem koła „Biesiady miłośników piśmiennictwa rosyjskiego”. Rok 1815 otwiera kampanię krytyków i pamphletistów, skierowaną przeciwko Żukowskiemu. Przy tym wyjaśniło się, że ma on wrogów nie tylko wśród najbliższych zwolenników Szyszowa. Nie przypadły do gustu niemieckie wzory Żukowskiego również większej części społeczeństwa, wychowanego na kulturze antycznej i francuskiej.

We wrześniu 1815 r. w Petersburgu odbyła się premiera komedii Szachowskoja „Zdroje lipieckie lub nauka zalotnikom”, która zawierała pamflet literacki w postaci „ballady Fiolkina”, przejrzyściej parodii Żukowskiego. Nie o tym nie wiedząc na premierę wybrało się towarzystwo przyjaciół romantyków z Żukowskim. Oczy wielu spośród obecnych na sali zwróciły się w stronę żywego prototypu paszkwilu, który wściekle i rozgoryczony siedział w trzecim rzędzie, jakby umyślnie wystawiony na pośmiewisko.

Szachowskoj, pamflety którego szły z romantyków kładły broń w ręce wsteczników, nie zaliczał się bynajmniej do ich szeregów. W wypadku Żukowskiego kierowała nim osobista niechęć. Żukowski popierał ogólne oskarżenie Szachowskoja o udział w intrydze przeciwko dramatopisarzowi Ozierowowi, skutkiem której dostał Ozierow pomieszczenia zmysłów i zmarł. Szachowskoj należał do ugrupowania pisarzy, całkowicie panujących w latach 1810—20 w dramatopisarstwie rosyjskim. Byli to prócz Szachowskoja: Katienin, Żandir, Kuechelbecker, Biegiczew, Wsiewożski i Gribojedow. Zajmowali oni pośrednie pozycje w środowisku preromantyków, walcząc zarówno z klasycyzmem, jak i romantyzmem orientacji zachodniej, o niezależną kulturę narodową, szekspiryzm, „historyzm”, prawdopodobieństwo — słowem o „właściwy”, „samoistny” romantyzm prekursora którego był Kamieniew. Prawie wszystkich tych pisarzy cechowała łączność deowa z dekabrystami.

Za teoretyka swego uważali oni szkolnego kolegę Żukowskiego, preromantyka Mierzłakowa, pochodzącego ze środowiska kupieckiego. Mierzłakow pisał obok wzniosłych ód ballady i pieśni sentymentalne, tłumaczył poetów antycznych, naśladował poezję ludową, propagując rodzinny folklor. Wychowany na klasycyzmie doniosły styl jego, który przenosił na grunt romantyczny, dał początek próbom Kuechelbeckera stworzenia ody i tragedii społecznej. Zresztą Kuechelbeckera specjalnie namawiał do archaizowania stylu Gribojedow. Natomiast Katienin przejął ideę Mierzłakowa o romantyzmie ojczystym bez naśladowania wzorów zachodnich. Miał on się wywodzić wprost z kultury narodowej, z ludowych pieśni i legend. Lata 1822—25 stały pod znakiem ożywienia myśli krytycz-



Teodor Buharyn

nej, pierwszych jej poważnych kroków, poszukiwań nowej estetyki i filozofii romantyzmu. Była to dopiero dyspozycja teoretyczna. Kłeska grudniowa głównych przedstawicieli rosyjskiego Sturm und Drangu urwała ten proces przeistoczenia się słowa w życie. W ich artykułach programowych wypowiadało poglądy swoje nowe pokolenie literackie, zadając rewizji dotychczasowych koncepcji, zakłócając i pogłębiając sztukę. Z polemiki wynikało, że nikogo nie zadowalniała romantyka oficjalna. Kuechelbecker pisał w „Mnemozynie”: „po przeczytaniu jakiegokolwiek elegii Żukowskiego, Puszkina lub Baratynskiego sytuacja się wyjaśnia — nie mamy od dawna uczuć: uczucie tęsknoty pochłonięto wszystkie inne... o myślach zaś nie ma co mówić...”. Rylejew dowodził, że mistycyzm romantyczny „zdeprawował wielu i wiele zła uczynił”. Wiaziemski nazwał romantyzm Żukowskiego „dworskim”. Bestużew w „Gwiazdzie Polarnej” wołał: „kiedy nareszcie zaczniemy pisać po prostu po rosyjsku?”

Sens tych głosów sprowadza się ku odczuciu konieczności uspołecznienia estetyki. Uczestnik w walce o nowe ideały z uciskiem chciał widzieć w sztuce broń, a nie oddźwięk



Włodzimierz Odojewski

prywatnej rozpacz. Był czas na to, żeby poezja przemówiła z trybuny. Ten obiektywizm socjalny łączył metody formalne nowych romantyków z metodami klasyków. Poeta społecznik chciał kierować ostrze pożytecznego odzie patosu przeciwko podwalinom ustroju feodalnego. Wprowadził obóz radykalny nie posiadający tu jednolitości; rozdział sędzi po linii taktycznej. Jedni jak Rylejew i Aleksander Odojewski, na wzór rewolucji Riego, pokładali głównie nadzieję w rewolucji wojskowej. Inni, wstrzymiwszy, liczyli na czas, który da im oparcie w dorastających do idei rewolucji masach ludowych. Różnica zdań zaważyła na stylu — oratorskim, retorycznym — jednych i realistycznym — drugich. Obydwie grupy łączył natomiast wspólny atak przeciwko Karamzinowi i jego sukcesorom, którzy „zamknęli drzwi do literatury” przed komedią, tragedią i ody. Nowe wielkie tematy żądały odrodzenia wielkich rodzajów literackich. Wiersze musiały być „odżywcze”, poezja nasiąknięta myślą. Rylejew nie zadowalał nie tylko Puszkina elegii i madrygalów. W polemice dookoła pierwszej pieśni „Oniegina” zajął on krytyczne stanowisko w stosunku do tego arcydzieła puszkiniowskiego. Wołał pierwsze bajroniczne poematy Puszkina.

Najbardziej zaognioną była sprawa indywidualizmu twórczego. Wprowadzony został on do literatury przez Karamzina. Formuła: „co to jest poeta? — doskonały kłamca”, to hasło estetyki mieszczańskiej, stało się hasłem młodokaramzinistów, całej plejady puszkiniowskiej. Przeciw niej ostro wystąpił Rylejew, który wysunął nową formułę: „nie jestem poeta, lecz tylko obywatelem”, podkreślając podstępne znaczenie sztuki wobec sprawy społecznej. Na co Puszkina miał ironicznie odpowiedzieć: „jeżeli kto pisze wiersze, musi być poeta, natomiast społecznik może pisać prozą”.

c. d. n.

Leon Gomolicki

EWA KORZENIEWSKA

TEORIA LITERATURY*)

FORMALIŚCI rosyjscy rozbudowując teorię literatury, opartą na idealistycznej teorii poznania stworzyli pewne ich stwierdzenia. W naszej nauce o literaturze istnieje od dość dawna świadomość tego, że formalizm w dziedzinie teorii literatury był konsekwentnym i naukowym systemem. W okresie przedwojennym byli wyznawcy i przeciwnicy tego kierunku, a więc w naszej świadomości naukowej stał się on czymś żywym i twórczym. Natomiast do dziś dnia, poza jakimś zresztą niewielkim artykułami, nie mamy informacji o tym, jak wyglądał inny system teorii literatury, oparty na materialistycznej koncepcji rzeczywistości. Wiemy to i owo o realizmie socjalistycznym, zdajemy sobie sprawę z tego, że materialistyczne pojmowanie kultury musi prowadzić do jakiegoś innego niż w formalizmie pojmowania zjawisk literackich. Poza hałaśliwym wołaniem o realizm w literaturze dosłownie ogólniejsze normy, z których rodzi się ten postulat. Ale na ogół są to tylko dość mgliste i mało uświadomione przeczucia. Dlatego warto przeczytać książkę Timofiejewa „Teoria literatury”. Warto, pomimo wielu jej naiwności i wielu sformułowań, które budzą mocne zastrzeżenia. Najważniejszą zasługą autora jest to, że podobnie jak formalizm zamierza dać pewien całkowity system teorii literatury, że widzi i próbuje przezwyciężyć trudności i przyjmując twierdzenia podstawowe, przyjmuje i broni najdalszych konsekwencji swego stanowiska.

Typowym przykładem takiego mieszczenia w ramach systemu zjawisk, które poza nim nie dają się w nim pomieścić jest zagadnienie rodzajów literackich. Autor sam stwierdza, że zagadnienie to wydaje się sprzeczne z historycznym pojmowaniem zjawisk literackich. W całej rozprawie Timofiejew konsekwentnie broni stanowiska jedności treści i formy we wszystkich elementach literackiej twórczości, a więc w języku, kompozycji, wierszu itd. Rodzaje literackie istnieją we wszystkich historycznych okresach rozwoju literatury pozornie mogłyby świadczyć o niezależności formy od historycznie uwarunkowanej treści utworu. Aby rozwiązać ten konflikt autor w nieco odmienny niż to robiono dotychczas, sposób pojmując istotę rodzaju literackiego. Stwierdza, że podobieństwo utworów należących do jednego rodzaju literackiego polega tylko na tym, w jaki sposób zostaje przedstawiony człowiek. W epice człowiek jest pokazany w rozwoju swego charakteru, w związkach z innymi postaciami, na tle dłuższego czasu i określonych warunków. W liryce spotykamy się z zupełnie innym przedstawieniem charakteru. Tutaj „człowiek wysypuje w oddzielnym przeżyciu, które rozwija się przed nami — w chwili obecnej, rodzi się bezpośrednio przed naszymi oczyma”. Stąd wyprowadza autor wniosek, że „u podstawy rodzaju leży określony typ przedstawienia człowieka, określony sposób budowania charakteru”. Te dwa sposoby przedstawiania charakteru odpowiadają, wedle autora, dwóm podstawowym formom zachowania się człowieka w życiu. Człowiek bierze udział w życiu bądź działając i uczestnicząc, bądź też przeżywając i zachowując się biernie. Te dwa jedynie możliwe na przestrzeni wieków rodzaje zachowania się człowieka warunkują istnienie dwóch odmiennych sposobów ujmowania człowieka w literaturze — epiki i liryki. W ten sposób rodzaje literackie są uwarunkowane historycznie, tym więcej, że każdy utwor napędza się żywą problematyką swego epoki.

Oczywiście można mieć zastrzeżenia, co do naukowości tej koncepcji, można ją nawet zwalczać w ramach samego systemu socjologicznej teorii literatury, ale przykład ten jest znamieny dla autora, który nie unika trudności i mierzy się z nimi.

„Teoria literatury” Timofiejewa dzieli się na trzy zasadnicze części. Pierwszą autor poświęca zagadnieniu, czym jest literatura, w drugiej zajmuje się badaniem specyficznych środków literatury, czyli analizą dzieła, w trzeciej omawia problemy związane z pojęciem procesu literackiego.

Łatwo zrozumieć, że dla Timofiejewa problem „istoty literatury” nie jest tak jak np. dla Ingardena problemem ontologicznym. Autorowi nie chodzi tu oczywiście o badanie „sposobu literackiego” (Ingarden) dzieła literackiego, ani jego stosunku do świata realnego. Stojąc na stanowisku materializmu, Timofiejew te zagadnienia uważa za rozwiązane i nie zajmuje się nimi. Natomiast mówiąc o istocie literatury określa ją w ramach pojęć socjologicznych „jako jedną z form ideologii, która daje nam pojęcie życia”. Każde dzieło literackie jest odwzorowaniem życia i równocześnie jego oceną. Ocena ta zawiera się w wyborze faktów, ustaleniu związków między nimi, w języku w ogóle w każdym elemencie dzieła przenikniętym indywidualnością twórcy. Stąd rodzi się wniosek, że dzieło odpowiada prawdzie życia w zależności od rozumienia życia przez pisarza. Poznawcze znaczenie dzieła zależy od horyzontów myślowych i doświadczeń życiowych autora. Ponieważ jednak każde dzieło oddawia rzeczywistość historyczną, z której wyrasta, nawet utwór o ideologii wrogiej naszej

współczesności zachowuje swą wartość i poznawczą i wychowawczą. Sprawa ta wiąże się ściśle z problemem stosunku, jaki zachodzi pomiędzy „obrazem życia” w literaturze a wartością ideologiczną dzieła. Oś Timofiejew stwierdza, że w wielkiej sztuce odzwierciedlenie rzeczywistości może być prawdziwe nawet wbrew myślniej ideologii autora. Wielki pisarz widzi więcej niż potrafi zinterpretować logicznie. Dlatego dzieła epok minionych mówią więcej niż potrafiłby powiedzieć ich autor i mówi co innego niż to, co było w nie włożone przez pisarza-ideologa.

Rozstrzygnięcie tego problemu w ramach doktryny marksistowskiej ma wielkie nie tylko teoretyczne ale i praktyczne znaczenie, wyznacza bowiem stosunek do literatury epok minionych. Ustala co literatura przeszłości może dać współczesnemu obywatelowi państwa sowieckiego i jaki winien być stosunek czytelnika do dzieł z okresu starożytnego i okresu kapitalizmu burżuazyjnego. Normatywność marksistowskiej teorii literatury, która przyznaje sobie prawo do oceny i wartościowania występuje nie tylko tutaj. Niemniej wyraźnie widać ją w sformułowaniu norm wartościowania. Według autora błąd dawnych poetyk normatywnych (np. Boileau „L'art poétique”) polegał na tym, że uogólniali właściwości jednego okresu literatury, uważając je za ogólnie przyjęte i obowiązujące normy.

Pojmowanie realizmu socjalistycznego jako najwyższego osiągnięcia sztuki prowadzi do ciekawej koncepcji całego procesu literackiego przeszłości. Autor opierając się na koncepcji Arystotelesa, że poeta odwziera bądź to, co jest, bądź to, co mogło być, wyróżnia właściwie tylko dwa prądy literackie — realistyczny i romantyczny. Różnice między nimi wynikają ze sposobu kreślenia obrazów. „Obraz — mówi Timofiejew — przedstawiający życie takie, jakie jest nazywamy realistycznym. Obraz przedstawiający ludzi, jakimi oni, według zdania artysty, powinni być — romantycznym”. Zgodnie z ogólnie w teorii i historii literatury przyjętym podziałem na epoki, autor też wyróżnia te okresy literatury — dając im jednak inne nazwy i inne charakterystyki. Literaturę starożytnej dawki miano realizmu mitologicznego. Klasycznym określa jako realizm logiczny, w XIX wieku mówi o realizmie krytycznym. Najgorzej wychodzi na tym naturalizm, gdyż autor stwierdza, że naturalizm opisywał tylko oddzielne zjawiska, nie umiając czy nie chcąc dojść do formułowania uogólnień i praw i dlatego nie wyszli poza niepełnowartościowy realizm.

Romantyzm, który jako prąd literacki ma swoje ściśle określone miejsce w historii literatury, może być pojmowany, podobnie jak realizm, jako pewien sposób widzenia i przedstawiania rzeczywistości. W tym rozumieniu nie jest przeciwnością, lecz raczej uzupełnieniem realizmu. Fakt, że na przestrzeni niemal całej historii literatury pomiędzy realizmem a romantyzmem były ostre przeciwieństwa wynikał z warunków historycznych. W starożytności w sztuce klasycznej pomimo „dziecinnej” mitologicznej interpretacji życia istniała umiejętność bezpośredniego, całościowego ujmowania rzeczywistości. Tracąc tę „naiwną” umiejętność „sztuka rozlała się na oddzielne strumienie realizmu i romantyzmu, dążąc jednak stale do odzyskania tej jednolitości i niekiedy się przybliżając w epoce Odrodzenia, zbliżyła się bardzo do tego celu”. Dopiero jednak — mówi dalej autor — w ustroju socjalistycznym może nastąpić zupełne zlanie się tych dwóch prądów i dwóch metod twórczości artystycznej. Dlatego też realizm socjalistyczny, który wywyższuje oba sposoby ujmowania rzeczywistości jest najwyższym osiągnięciem sztuki i daje możliwość ustalania norm ogólnie obowiązujących.

Poetyka marksistowska cení jednakowo metody realizmu i romantyzmu. Odróżnia tylko pewne rodzaje romantyzmu, które nie powinny i nie mogą istnieć w społeczeństwie socjalistycznym. Tak nazywany przez Gorkija romantyzm passywny, który wyraża negację

i ucieczkę od życia jest niemożliwy w ustroju socjalistycznym i nade wszystko szkodliwy. Romantyzm „progressywny” — który rodził się z niezadowolenia i wołał o zmianę miał swe głębokie uzasadnienie w okresie społeczeństwa klasowego. Romantyzm rewolucyjny był heroicznym i twórczym prądem okresu wielkich przemian — wreszcie romantyzm Gorkiego, określany przez samego pisarza jako romantyzm kolektywizmu, próbuje tworzącą się rzeczywistość i odsłania jej nowe perspektywy rozwojowe. W przeciwnieństwie bowiem do realizmu, który ześrodkowuje swą uwagę na tym, co się już skonkretyzowało — romantyzm wyławia z rzeczywistości to, co się dopiero tworzy i precyzuje. Dlatego w osnowie realizmu leży prymat życia nad sztuką, w osnowie romantyzmu prymat sztuki nad życiem. Sztuka w tym sensie uzyskuje wielki wpływ na kształtowanie tworzącej się rzeczywistości.

Poetyka w tym rozumieniu jest bardzo bliska krytyce literackiej, która autor obok historii literatury uważa za osobny dział nauki o literaturze. Krytyka literacka również ocenia dzieło z punktu widzenia tych samych kryteriów, to jest określa jakie znaczenie ma ono dla nas obecnie, jak pomaga rozwiązać praktyczne zadania stojące przed nami dzisiejszym, w jakiej mierze odpowiada wymaganiom sztuki, narodowości, partyjności. Z drugiej strony teoria literatury stoi niedaleko i według słów autora „bezpośrednio przechodzi w historię literatury”. Teoria literatury rozpatruje dzieło niezależnie od historycznych związków (np. tradycji literackiej), ma prawo badać dzieło jako wytwór tylko danej historycznej sytuacji, ale już mówiąc o stylu, prądach, metodach i rodzajach trudno utrzymać się w granicach teorii, gdyż konkretnie dowiadujemy się o nich czegoś tylko na podstawie analizy historyczno-literackiej, określając w ten sposób dany styl lub daną metodę. Tak więc wszystkie trzy gałęzie nauki o literaturze łączą się ściśle ze sobą i są dyscyplinami praktycznymi w tym sensie, że winny służyć tworzeniu nowej kultury proletariackiej i wychowywać współczesnego człowieka.

W dziedzinie szczegółowych sprecyzowań, które jednocześnie stanowią pojęcia zasadnicze marksistowskiej teorii literatury — jednym z najważniejszych jest pojęcie „obrazowości”. Według Timofiejewa specyficzną cechą literatury, wyróżniającą ją spośród innych form ideologicznej działalności jest obrazowość. Pojęcie artysty jest tym samym, co pojęcie obrazowości — bowiem artystyczne odwzorowanie życia polega na pokazaniu jego obrazu. To sformułowanie wyjaśnia dlaczego autor przypisuje takie znaczenie dokładnej definicji obrazu i dlatego poświęca temu wiele stron swej pracy. Po długich rozważaniach szczegółowych dochodzi do takiego ostatecznego sformułowania — „Obraz jest to konkretna i równocześnie uogólniająca ilustracja ludzkiego życia, stworzona przy pomocy fantazji i posiadająca estetyczne znaczenie”. Definicja ta s'aje się jasna, gdy zrozumiemy, że autor jest wyrazicielem realizmu, który wymaga od dzieła „prawdziwości”, „logiki myśli i uczuć” i za najważniejszy sprawdzian wartości utworu uważa jego prawdopodobieństwo. Nie jest to zresztą realizm naiwny. Autor podkreśla, że literatura nie jest i nie może być „zwierciadłem”, gdyż jest sztuką, która musi wybierać pewne elementy rzeczywistości i kształtować je według reguł artysty i założeń ideologicznych. Dlatego w definicji obrazu zawiera się pojęcie indywidualizacji (obraz konkretny) i pojęcie typizacji (wybór cech charakterystycznych). Oba te zadania musi spełniać i drugi podstawowy element dzieła literackiego — charakter (w rozumieniu postaci). Powinien być dostatecznie indywidualny, aby dawać wrażenie prawdy życiowej i wystarczająco typowy, aby mieć cechy trwałości i znaczenia poza epoką w której powstał. Autor dlatego nie odróżnia w literaturze typów i charakterów, gdyż uważa, że każdy charakter musi mieć cechy typowe. Charakter jest tym elementem, który „organizuje” dzieło i jest jego ośrodkiem. Wszystkie inne elementy dzieła służą budowie charakteru i jednocześnie charakter warunkuje ich jakość i znaczenie. Nawet ogólne pojęcie formy dzieła polega — według Timofiejewa — „przede wszystkim na poznaniu charakterów stanowiących podstawę jego obrazowości”. Charakter z tego punktu widzenia jest swego rodzaju chwytłem artystycznego przedstawienia rzeczywistości. Z jednej strony od charakteru idziemy do idei pisarza, do jego uogólnień, a od nich ku realnej rzeczywistości przedstawionej przez pisarza — a z drugiej strony od charakteru idziemy do zrozumienia wszystkich środków artystycznej twórczości. „Charakter służy autorowi nawet jako kryterium odróżniania rodzajów i prądów literackich. W ten sposób wokół dwóch pojęć „obrazowości” i „charakteru” koncentruje się wszystkie zagadnienia związane z analizą utworu literackiego. To znów możemy zauważyć, że Timofiejew „couite que couite” dąży do bezwzględnej jednolitości i logiki budowy swej teorii.

Trudno w ramach recenzji omówić wiele innych interesujących zagadnień jak np. stosunek tej teorii do formalizmu, do założeń szkoły lingwistycznej. Trzeba natomiast zaznaczyć, że w stosunku do formalizmu teoria ta jest o wiele pełniejsza i bogatsza. Domaga się historycznej interpretacji dzieła, docenia znaczenie indywidualności pisarza, umieszcza dzieło w konkretnej rzeczywistości historycznej i nie boi się wartościowania. Suchemu opisowi formalistów, który jakże często prowadził do jałowej schematyzacji i rejestrowania przeciwstawia śmiało hasło oceny. Poetyka ta jest także poetyką postulującą, która żąda od literatury wypełniania pewnych zadań w życiu społecznym.

Ewa Korzeniewska

KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Zbigniew Mołński: Przeżycia partyzanta, — Księgarnia M. Stawarska, Częstochowa 1947 t. I str. 211.
- Zdzisław Morawski: Pieniądz, Wyd. E. Kuthana, Warszawa—Kraków 1947 str. 207.
- Jack London: Odyseja Północy — Wyd. E. Kuthana, Warszawa—Kraków 1947 str. 169.
- Lucyna Krzemieniecka: W bajowej gospodzie Wyd. E. Kuthana, Warszawa—Kraków 1947 str. 46.
- Fannie Hurst: Imitacja życia — Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1947 str. 404.
- Pola Gojawczyńska: Ziemia Elżbiety — Spółdziel. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 205.
- Andrzej Strug: Ludzie podziemi — Spółdz. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 215.
- Karin Michaëlis: Dzieci z Nyhavu — Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 202.
- Anatol Winogradow: Potępienie Paganiniego Sp. Wyd. „Wiedza”, Warszawa 1947 str. 462.
- Charles Kingsley: Na podbój świata — Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 280.
- Emil Zola: Germinal T. I — Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 260.
- T. II — str. 189.
- Balzac: Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 330.
- R. Kipling: Księga Dżungli — Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 202.
- Henryk Szyper: Adam Mickiewicz poeta i człowiek czynu. Sp. Wyd. „Czytelnik” Warszawa 1947 str. 244.
- Mieczysław Zawadzka: Stefan Okrzeja — Sp. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1947 str. 41.
- Kazimierz Lepski: Zarys dziejów polskiej marynarki. Wyd. M. Kot. Kraków 1947 str. 83.
- Ludzie wolni są braćmi opracował Henryk Mościcki Wyd. M. Kot. Kraków 1947 str. 126.
- Bogusław Leśnodorski: Parlamentaryzm w Polsce — Wyd. M. Kot. Kraków 1947 str. 163.
- Leszek Winowski: Stosunek chrześcijaństwa pierwszych wieków do wojny — Wyd. Towarzystwo Naukowe K. U. L. Lublin 1947 str. 165.
- Jan Stanisław Łoś: Warunki bytowania ludności polskiej na ziemiach odzyskanych — Towarzystwo Naukowe K. U. L. Lublin 1947 str. 35.
- Irena Krzywicka: Tajemna przemoc — Wyd. AWIR Katowice 1947 str. 175.
- N. Jemielianowa: Chirurg — Wyd. AWIR Katowice 1947 str. 70.

KORESPONDENCJA

W sprawie pamięci o zmarłych pisarzach

Słusznie poruszył jeden z Kandydów sprawę wznowień utworów pisarzy zmarłych podczas tej wojny. Jak ta sprawa wygląda zbliska, przekonałem się doświadczenie.

Przed półtora rokiem spółdzielnia „Wiedza” sporządziła umowy na wydanie trzech książek Światopelki Karpińskiego. Zwrócono się do Jarosława Iwaszkiewicza o dokonanie wyboru poezji i napisanie przedmowy, oraz do mnie — o ułożenie tomu satyr. Oba tomy w krótkim czasie zostały przygotowane do druku. W ciągu półtora roku wielokrotnie dowi-

dywałem się w „Wiedzy” o losy tych książek, ale, odsyłany od Annasza do Kaifasza, dotąd nie moge się z nikim w ludzkim języku w tej sprawie dogadać.

Autorzy żyjący, oswoili się jakoś z traktowaniem ich przez „Wiedzę” poniżej obowiązujących gdzie indziej manier towarzyskich, ale dlaczego okazują się w wychowywanie także i w stosunku do nieboszczyków?

Z poważaniem
Janusz Minkiewicz

TREŚĆ NUMERU 47:

Mieczysław Jastrun — W Rzymie. Włodzimierz Sokorski — Twórcą — budowniczym nowej kultury w Polsce. Stanisław Jerzy Lec — Wiersze. Wacław Kubacki — Symbole i komentarze. Leon Gomolicki — Droga do Rosji. Adam Bromberg — O obniżce ceny książki. Leon Gomolicki — Poeta i człowiek czynu. Kazimierz Budzyk — Książka o prozodii polskiej. Lech Budrecki — Faszyzm w masce alegorii. Przegląd prasy. Korespondencja. Noty. Książki nadane.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOLKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”.
D-023502 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.

*) L. I. Timofiejew. Osnovy nauki o literaturę. Moskwa 1945.